

I 218. 691

ПАМІЯТНИКИ ХОЛМСА

Druk J. Brusia i S-ki, Warszawa, foksal 18.

CONAN DOYLE

PAMIĘTNIKI HOLMSA,
SŁYNNEGO AGENTA LONDYŃSKIEGO

(Z angielskiego)

I.

WARSZAWA

Skład główny w księgarni M. Borkowskiego.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016538953



Дозволено Цензурою,
Варшава 11 Января 1905 г.

I 218.691

Srebrzysta gwiazda.

— Obawiam się, Watsonie, że mi znowu wypadnie jechać, — rzekł mi Holms, gdyśmy razu jednego siedzieli razem przy śniadaniu.

— Tak? Dokąd że to?

— Do Dartmuru — do Kings Pailend.

Nie zdziwiłem się bynajmniej. Owszem, dziwiłem się przedtem, że Holms nie wtrąca się do sprawy, która była na ustach wszystkich, głośna w całej Anglii.

Przez cały dzień przyjaciel mój chodził po pokoju, z głową zwieszoną, z czołem zachmurzonym, nakładając co chwila do fajki najmocniejszy czarny tytoń i nie odpowiadając na moje zapytania. Ostatnie wydania gazet, otrzymane przez naszych agentów, rzucone zostały do kąta, zaledwie przejrane. Chociaż nie mówił ani słowa, wiedziałem doskonale, o czem wciąż myśli. Jedną tylko nierozwikłaną zagadką mogła podniecać jego myśl, a zagadką tą było tajemnicze zniknię-

cie faworyta na wielkie derby w Wessex i tragiczna śmierć jego berajtera.

Dla tego też, gdy mi oznajmił o zamiarze udania się na miejsce wypadku, nie zdziwiłem się ani trochę.

— Pojechał-bym chętnie z tobą, gdybym wiedział, że ci przeszkadzać nie będę, — rzekłem po chwili.

— Ależ, kochany Watsonie, nie możesz mi się bardziej przysłużyć, jak jadąc ze mną tym razem. Mam przytem nadzieję, że czasu nie stracisz napróżno, przypuszczam bowiem na zasadzie pewnych poszlak, że sprawa ta będzie jedyną w swym rodzaju. Sądzę, że zdążymy jeszcze na pociąg w Paddingtownie; w drodze opowiem ci wszystko szczegółowo. Bądź też łaskaw wziąć ze sobą tę swoją, znakomitą lornetkę polową.

Tym sposobem niespełna w godzinę siedzieliśmy już w przedziale pierwszej klasy kolei, dążącej do Exeter—i Sherlock Holms, nasunawszy na oczy czapkę podróżną, która doskonale zarysowywała jego twarz ruchliwą, zaszył się w stos świeżych gazet, w które zaopatrzył się był na stacyi w Paddingtownie.

Minęliśmy już dawno Riding, gdy nareszcie odrzuciwszy ostatnią z gazet pod ławkę, zaproponował mi cygaro.

— Szybko jedziemy, — rzekł, wyglądając przez okno i spojrzął na zegarek. Bez mała — pięćdziesiąt trzy i pół mili na godzinę.

— Nie zauważyłem słupów wiorstowych, — rzekłem.

— I ja ich nie widziałem. Natomiast słupy telegraficzne rozstawione są tutaj na przestrzeni 60 jardów od siebie, ztąd też rachunek nie jest trudny. Przypuszczam, żeś już czytał w gazetach o zabójstwie Dżona Strakera i o zniknięciu Srebrzystej Gwiazdy.

— Czytałem o tem tylko w *Telegraphie* i w *Chronicle*.

— Jest to jeden z tych wypadków, do których zręczna analiza ma być zastosowaną nie tyle dla zdobycia nowych poszlak, ile dla wystudyowania szczegółów. Dramat ten jest do tego stopnia niezwykły, nadto zahacza o sprawy tylu osób, że wprost jesteśmy w kłopotcie z powodu nadmiaru przypuszczeń i hipotez. Cała trudność polega na tem, by z tej powodzi bają reporterских wyłowić fakty nagie i niezaprzeczone. Następnie gdy upewnimy się już co do tej podstawy, zadaniem naszym będzie poczynienie pewnych poszukiwań i stwierdzeń, tudzież ustanowienie głównych punktów, na których się zasadza cały ten ciemny wypadek. We wtorek otrzymałem dwie depeze: jedną od pułkownika Rossa, właściciela konia, drugą od inspektora Gregori'ego, któremu powierzono tę

sprawę. Proszą mnie obadwaj, bym im dopomógł w ujęciu zabójcy.

— We wtorek wieczorem! — wykrzyknąłem zdumiony, — a dzisiaj czwartek. Dla czego nie pojechaliśmy wczoraj?

— Masz rację, kochany Watsonie, — przeoczyłem się, chodzi jednak o to, że nigdy nie przypuszczałem, by ten koń znany w całej Anglii mógł przepaść bez wieści, zwłaszcza w tak odludnej stronie, jaką jest północ Dartmuru. Co chwila oczekiwałem wczoraj, że konia znajdą i że ten, kto go uprowadził, będzie zarazem zabójcą Dżona Strakera. Rankiem jednak, gdy się dowiedziałem, że poza zaareztowaniem młodego Simpsona niczego nie dokonano, przyszedłem do wniosku, że pora zacząć działać. Tym więc sposobem dzień wczorajszy spełził nam na niczem.

— Bądź co bądź, masz już zapewne jakieś jasne zarysy w całej tej niezwykłej sprawie.

— Dotychczas wyodrębniłem fakty najważniejsze. Zaraz ci je wyliczę. Nic tak nie wyświeśla sprawy, jak — gdy ją komu wykładamy. Nie mogę też chyba liczyć skutecznie na twój współdziałanie, jeżeli ci pierwej nie wyłuszcze wszystkiego po porządku.

Usadowiłem się wygodnie, a Sherlock Holms, pochylając się ku mnie, począł wyliczać na palcach fakty które mu były wiadome, komentując

jąc je szczegółowym opisem wypadków, które stały się powodem naszej wspólnej wyprawy.

„Srebrzysta gwiazda“, mówił mi, „pochodzi z rodu Izonomi i jest prawie tak samo znamienita, jak i jej przodek. Dobiega teraz pięciu lat wieku i na wszystkich prawie wyścigach zdobywała nagrody, przysparzając sławy i pieniędzy szczęśliwemu jej posiadaczowi, pułkownikowi Rossowi. Aż do ostatnich chwil uważaną była za faworytkę na derby Wessexskie; szanse miała w stosunku trzech do jednego. Dotychczas stale była faworytką publiczności, nie zawiodła nigdy nadziei, wskutek czego grano na nią ogromnemi stawkami. Wynika ztąd oczywiście, że nieobecność jej w przyszły wtorek, gdy flaga zostanie podniesioną, dla wielu będzie pożądaną.

— O wszystkim tem, rzecz prosta, wiedziano dobrze w Kings Pajlend, gdzie była stajnia pułkownika Rossa. Faworytkę strzeżono jak można najstaranniej. Berajter Dżon Straker — dzokiej dymisyonowany, nosił przedtem barwy pułkownika Rossa na wszystkich wyścigach, dopóki nie ociążał zupełnie. Służył u pułkownika Rossa pięć lat, jako dzokiej, i siedm lat, jako berajter; był zawsze sługą wiernym i całkowicie oddanym. Miał do posług trzech chłopców, bowiem stajnia pułkownika liczyła zaledwie cztery konie. Jeden z chłopców co noc stróżował w stajni, podczas gdy dwaj inni spali na stry-

chu. Wszyscy trzej cieszyli się dobrą opinią. Dżon Straker był żonaty i mieszkał w niewielkiej willi o dwieście jardów od stajni. Nie ma wcale dzieci, trzyma jedną służącą i był ma zgoła zabezpieczony. Okolica zupełnie odludna, o pół mili jedynie na północ znajduje się mała osada, złożona z kilkunastu domów; pobudowana przez przedsiębiorcę z Tawistoku dla chorych, pragnących się leczyć świeżem i zdrowem powietrzem dartmurskiem. Samo miasteczko Tawistok znajduje się o dwie mile dalej na zachód, a naprzeciw niego poprzez błota, również w odległości dwóch mil, jest Kepletoński Zakład tresury koni, należący do lorda Bekuotera i znajdujący się pod zwierzchnictwem Silasa Brauna. Po za tem błota okoliczne nie są zamieszkałe i tylko od czasu do czasu nawiedzają je cyganie, którzy wśród nich obozują. Oto jak się przedstawiał teren i ogólny stan rzeczy w wieczór poniedziałkowy, kiedy stał się wypadek.

— W wieczór ów, po treningu koni i po napojeniu, jak zwykle, zamknięto stajnię o samej dziewiątej. Dwóch chłopców udało się do kuchni berajtera, żeby tam spożyć kolację, trzeci chłopiec, nazwiskiem Ned Genter, pozostał na nocnym dyżurze w stajni. W kilka minut potem służąca Edyta Wakster zaniósła mu do stajni kolację; była to pieczona baranina. Nie przyniosła mu nic do picia, bowiem woda była przeprowadzona do stajni, chłopiec zaś czuwający

miał zakazane używanie innego napoju. Dziewczyna miała ze sobą latarnię, było bowiem ciemno i droga prowadziła przez błoto.

— Edyta Wakster była już w odległości trzydziestu jardów od stajni, gdy nagle w ciemności ukazał się jakiś mężczyzna, który zawołał na nią. Gdy światło latarni upadło na niego, spostrzegła, że był to jakiś przyzwoity jegomość, ubrany w szare palto, w miękkim kapeluszu na głowie, w sztybletach i z ciężką laską w dłoni. Nadewszystko zaś zwróciła jej uwagę nadzwyczajna bledość tego pana i widoczne jakieś pomieszanie. Wyglądał na trzydzieści lat lub może trochę więcej.

— Czy nie możesz mi powiedzieć, gdzie się znajduję? — zapytał ją. — Miałem już zamiar nocować w tem błocie, gdym naraz ujrzał blask twojej latarki.

— Jesteś pan w pobliżu stajni w Kings Pajlend, — odrzekła mu.

— Tak? Ależ to wyśmienicie! — wykrzyknął nieznajomy. — Słyszałem, że w stajni śpi zawsze chłopiec dyżurujący. Dla niego to prawdopodobnie niesiesz tę kolacyę. Sądzę, że chciała byś zarobić sobie na nowe ubranie.

Z temi słowy wyjął z kieszonki w kamizelce złożony kawałek białego papieru.

— Oddaj to, moje dziecko, dziś wieczorem temu chłopcu, a ręczę, że będziesz miała naj-

piękniejsze ubranie, jakie sprawić sobie można za sute pieniądze.

Poważny ton nieznajomego tak ją przestraszył, że nie biorąc papieru, pobiegła pędem wprost do okna, przez które podawała jadło. Okno było już otwarte i Genter siedział koło niego przy małym stoliku. Zaledwie zaczęła mu opowiadać, co się jej przytrafiło w drodze, gdy ów nieznajomy stał już tuż koło niej.

— Dobry wieczór! — rzekł, zaglądając do okna, — chciałbym ci, chłopcze, parę słów powiedzieć.

Służąca gotowa przysiędź, że podczas gdy to mówił, z dłoni zaciśniętej wystawał rożek białego papieru.

— Czego pan tutaj chcesz? — zapytał chłopiec.

— Mam interes do ciebie, interes bardzo dla kieszeni korzystny, — rzekł jegomość. W stajni swej macie dwa konie na derby weselne: Srebrzystą gwiazdę i Bajarda. Czy to prawda, że Bajard ma szansę pokonania Srebrzystej gwiazdy i że na niego gra wasza stajnia?

— Aha! to pan tu przyszedł na zwiady! — wykrzyknął chłopiec. — Zaraz panu pokażę, jak stoją sprawy w Kings Pajlend!

Z temi słowy poskoczył do odległego kąta stajni, żeby spuścić wielkiego psa z łańcucha. Dziewczyna poczęła uciekać ku domowi, w dro-

dze atoli obejrzała się i spostrzegła, że nieznamy przechylił się przez okno. Zresztą, niespełna w minutę, gdy Genter wybiegł z psem na podwórze, nie było już nieznanego i chociaż chłopiec obiegł stajnię dokoła, ani śladu nigdzie go nie było.

— Chwileczkę... — przerwałem mówiącemu: — czy chłopiec, wybiegłszy z psem, zamknął drzwi od stajni?..

— Wybornie, Watsonie, wybornie! — zawołał mój towarzysz. — To pytanie i mnie nurtowało. Wczoraj też posłałem depezę do Dartmuru, żeby wyjaśnić tę sprawę. Otóż chłopiec zamknął drzwi za sobą. Teraz co do okienka, to było ono za małe, by mógł przez nie przeleźć człowiek.

Genter poczekał, aż wrócili jego towarzysze, i wtedy oznajmił, co zaszło, berajterowi. Straker bardzo się tem zaniepokoił, chociaż widocznie nie bardzo wiedział, o co chodzi. Mimo to niepokój nie opuszczał go — i o pierwszej w nocy, pani Straker, która się obudziła, ujrzała, że mąż jej się ubiera. Na zapytanie jej odrzekł, że obawia się o konie i że pójdzie do stajni zobaczyć, czy wszystko tam w porządku. Prosiła go, by pozostał, gdyż padał deszcz, nie posłuchał jej jednak, wdział płaszcz od deszczu i wyszedł z domu.

— O siódmej zrana; gdy pani Straker się obudziła, spostrzegła, że mąż jej jeszcze nie



wrócił. Spiesznie się tedy ubrała, zawołała służącą i udały się do stajni. Drzwi do stajni były otwarte; Genter, na krześle skurczony, spał, jak zabity, zagroda Srebrzystej Gwiazdy stała pustkami, a berajtera nie było ani śladu.

Zbudziły coprędzej obu chłopców, śpiących na strychu. Ci nic nie słyszeli w nocy, obaj bowiem zazwyczaj twardo spali. Gentera upojono widocznie jakimś narkotykiem, nie można bowiem było dobudzić się go, ani coś sensownego wydobyć. Pozostawiono go tedy w spokoju, żeby się wyspał, chłopcy zaś i obie kobiety puściły się na poszukiwania nieobecnych. Wciąż jeszcze myślano, że berajter wyprowadził konia na ranną przechadzkę; gdy jednak wyszli na wzgórek, z którego całą okolicę widać było jak na dłoni, i nigdzie ani widać, ani słyhać nie było konia, naraż ujrzeli coś, co zdjęło ich trwogą, dając do domysłu, że się stało nieszczęście.

W odległości ćwierci mili od stajni, na niskim krzaku, leżał porzucony surdut Dżona Strakera; tuż opodal w niewielkim dole leżało ciało nieszczęsnego berajtera. Czaszka była rozbita ciężkim jakimś widocznie narzędziem, na ciele z boku widniała długa wążka rana, zadana prawdopodobnie jakimś bardzo ostrem narzędziem. Dżon Straker musiał widocznie bronić się od morderców, bowiem w prawej ręce miał mały nóż otwarty, cały krwią zboczony, zaś

w lewej — w garści mocno zaciśniętej trzymał czarny jedwabny krawat w białe grochy, który, jak twierdziła dziewczyna, miał być owego wieczoru na szyi nieznanego, gdy tenże przychodził do stajni.

— Gdy Genter się obudził, oświadczył to samo, dodał przytem, że to ów nieznanomy wyspał mu widocznie proszek usypiający do baraniny i tym sposobem pozbył się go skutecznie.

— Co się tycze konia, to wnosząc z wielu bardzo śladów kopyt, które się odbiły na błocie nie grzązkim, z całą pewnością można było świadczyć, iż podczas zbrodni znajdował się w tem miejscu. Od tego jednak ranka znikł bez śladu; poruszono wszystkich cyganów w Dartmurze; pomimo jednak wielkiej nagrody, jaką wyznaczono za odprowadzenie, nie zdołano natrafić na ślad jego. Co się tycze kolacyi chłopca stajennego, to analiza wskazała, że w baraninie znajdowało się opium w proszku, od którego chłopiec zasnął niebawem po zjedzeniu, podczas gdy wszyscy inni, jedzący tego wieczoru baraninę, pozostali zdrowi i przytomni.

— Oto są fakty główniejsze, zakomunikowane mi przez policję; szczegółów nie będę przytaczał.

— Inspektor policyjny, Gregori, któremu poruczono tę sprawę, bez wątpienia człowiek zasłużony, na jednym tylko punkcie szwankuje — mianowicie na punkcie wyobraźni! Nie posia-

da jej wcale. Przyjechawszy na miejsce wypadku, kazał niezwłocznie aresztować człowieka, na którego przedewszystkiem winno było paść podejrzenie. Nie trudno go było odszukać, wszyscy go bowiem znali w okolicy. Nazywa się, jeśli się nie mylę, Ficroj Simpson. Jest to człowiek znanego dosyć rodu i bardzo starannie wychowany. Niegdyś zamożny, stracił wszystko, grając na wyścigach, i żył z tego, że spełniał różne polecenia londyńskich klubów sportowych. W notatniku, który miał przy sobie, odczytano, iż założył się o pięć tysięcy funtów przeciw faworytce Rossa.

— Gdy go aresztowano, przyznał się odrazu, że jeździł do Dartmuru, a to w celu dowiedzenia się czegoś o koniach w Kings Pajlendzie, a także o Deborze, drugim faworycie, który znajdował się pod opieką Silasa Brauna w stajniach Kepłtońskich. Nie starał się zapierać zupełnie, że go widziano w wilię dnia tego koło stajni, zapewniał jednak, że nie miał żadnych złych zamiarów, lecz pragnął zasięgnąć języka bezpośrednio u źródła. Gdy pokazano mu krawat, zbłądł raptownie i nie mógł dać żadnych wyjaśnień, zkadby się mógł w ręce zabitego znajdować. Odzież jego przemokła świadczyła wyraźnie, iż w wilię aresztowania był na deszczu, ciężka zaś laska jego, zakończona ołowiem, mogła być tem zabójczym narzędziem, którego kilka uderzeń spowodowało śmierć nieszczęsnego berajtera.

Z drugiej atoli strony, na ciele aresztowanego nie było ani śladu rany, ani zadraśnięcia, gdy tymczasem nóż zboczony w rękę Strakera wskazywał wyraźnie, że co najmniej jeden z zabójców musiał być nim zraniony.

— Masz teraz, kochany Watsonie, wszystko, jak na dłoni; będę ci prawdziwie obowiązany, jeżeli rzucisz na tę sprawę choć trochę światła.

Z największą uwagą wysłuchałem tego opowiadania Holmsa, wyłożonego ze zwykłą mu jasnością. Choć większość faktów była mi wiadomą, nie zdołałem jednak dotychczas uchwycić wewnętrznego ich związku i ocenić ich wartości.

— Czyż nie jest rzeczą możebną, — odezwałem się, — że rana, na ciele Strakera skonstatowana, była zadana własnym jego nożem i własną ręką w chwili targań konwulsyjnych, spowodowanych przez wstrząśnienie mózgu.

— Nie tylko możebne, lecz zupełnie prawdopodobne, — odrzekł Holms. — A wtedy upada najważniejsze ze świadectw, jakie było na obronę aresztowanego.

— Po za tem, — dodałem jeszcze, — nic sobie dotychczas, nie uprzytamniam co sądzi o tem wszystkim policya.

— Obawiam się, że wszystkie przypuszczenia, które poczyniła, dadzą pole do poważnych zaprzeczeń, — rzekł mój towarzysz. — O ile mi się zdaje, policya jest zdania, że Ficroj Sim-

pson, uśpiwszy chłopca i zdobywszy jakąś drogą drugi klucz, otworzył stajnię i wyprowadził konia, z zamiarem prawdopodobnie natychmiastowego uprowadzenia. Uzdy konia nie znalaziono na zwykłym miejscu w stajni, włożył więc ją widocznie na konia. Zostawiwszy następnie drzwi za sobą otwarte, miał już konia przez błoto uprowadzać, gdy oto spotkał go czy przyłapał berajter. Wywiązała się walka. Simpson ciężką swą laską rozwalił głowę berajterowi, nie otrzymawszy wzamian uszkodzenia od małego noża, którego Straker użył widocznie do obrony. Potem zbrodniarz lub ukrył konia w miejscu gdzieś ustronnem, lub też koń się wyrwał i uciekł od niego na błota. Tak oto przedstawia się rzecz policyi, a chociaż to wszystko jest bardzo nieprawdopodobne, nieprawdopodobniejszym wszakże byłoby każde inne przypuszczenie. Zresztą, co rychlej rozpatrzę to wszystko na miejscu, tymczasem nic stanowczego nie mogę o tem orzec.

Pod wieczór dopiero dojechaliśmy do małej wieściny Tawistoku, znajdującej się pośrodku Dartmuru. Dwóch panów oczekiwało na nas na stacy: jeden z nich wysokiego wzrostu, z ogromną czupryną, wielką brodą i bystreimi oczyma niebieskiemi; drugi — drobny, wykwin-tny i wesoły, w surducie i w sztybletach, z małemi faworytami i z monoklem w oku. Był to półkownik Ross, znany sportsman. Pierwszy —

był to inspektor Gregori, który w krótkim czasie umiał zjednać sobie imię wśród śledczych agentów policyi londyńskiej.

— Rad jestem wielce, że widzę pana, mister Holms, — rzekł pułkownik. — Pan inspektor uczynił już wszystko, co tylko można było obmyślić, ja zaś postanowiłem wszystko dokoła przetrząsnąć, byle tylko odszukać zabójcę biednego Strakera i odzyskać mego cennego konia.

— Jest co nowego? — zapytał Holms.

— Niestety! wyznać muszę, że sprawa nasza posuwa się bardzo wolno, — rzekł inspektor. — Czekaj tu na nas powóz otwarty; ponieważ pan zechce prawdopodobnie za dnia jeszcze obejrzeć miejsce wypadku, opowiem panu szczegóły w powozie.

Za chwilę siedzieliśmy już wszyscy czterej w wygodnem landzie i jechaliśmy ulicami starego oryginalnego miasteczka.

Inspektor Gregori był bardzo całą tą sprawą przejęty i mówił bez przerwy, Holms zrzadka tylko rzucał pytanie lub wydawał okrzyk. Pułkownik Ross siedział, wciśnięty w poduszkę, ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i z nasuniętą na oczy czapką, przysłuchując się ciekawie rozmowie dwóch agentów.

Gregori wypowiadał swój pogląd, prawie w zupełności odpowiadający temu, jaki wywróżył Holms w wagonie.

— Wszystkie poszlaki zwracają się przeciw Simpsonowi, — mówił Gregori, — przypuszczam też, że on jest zabójcą. Jednocześnie atoli rozumiem doskonale, że fakty te mogą być przypadkowemi i że nowa jaka okoliczność może wszystko do góry nogami wywrócić.

— Jakież jest zdanie pańskie co do noża Strakera?

— Przyszliśmy do wniosku, że sam się zranił, padając na ziemię.

— Przyjaciel mój, doktor Watson, zrobił to samo przypuszczenie, gdyśmy jechali koleją. To wszakże świadczy przeciw Simpsonowi.

— Bez wątpienia. Nie ma na ciele ani zadraśnięcia. Tymczasem poszlaki wszystkie przeciw niemu. Chodziło mu wielce o zgładzenie faworytki niepożądaney; podejrzenie o uśpienie chłopca pada na niego w zupełności; był na deszczu; był uzbrojony w ciężką laskę i w ręku zabitego znaleziono jego krawat. Zdaje mi się, że mamy prawo wystąpić przeciw niemu z oskarżeniem.

Holms pokręcił głową.

— Wyrokowanie o tem jest przedwczesne. Poczóż by tedy wyprowadzał konia ze stajni? Jeżeli chciał go skaleczyć, mógł to zrobić i w stajni. Czy znaleziono drugi klucz w jego kieszeni? Kto mu sprzedał opium sproszkowane? A co najważniejsza, jakim sposobem, nie znając miejscowości, mógł ukryć w niej konia, przytem

konia tak powszechnie znanego? Jakże się tłumaczy co do tego papierka, który chciał dać służącej, by doręczyła chłopcu?

— Powiada, że to był papierek dziesięciofuntowy. Znaleziono istotnie w kieszeni jego ubrania banknot tej wartości. Na inne pańskie pytania odpowiedź łatwa. Okolica była mu znana. Mieszkał dwa lata z rządu w Tawistoku. Opium przywiózł widocznie z Londynu. Klucz, gdy spełnił już zadanie, był nie potrzebny; wyrzucił go też zapewne. Koń, być może, leży gdzie w dole lub w starych błotnych wertepach.

— Cóż mówi o krawacie?

— Przyznaje się, że jest jego i powiada, że go musiał zgubić. Zjawiała się atoli nowa okoliczność, która poniekąd wyjaśnia, jakie miał względem konia zamiary.

Holms nastroszył uszu.

— Odnaleźliśmy ślad obozu cygańskiego, który się znajdował w odległości mili od miejsca wypadku; w noc poniedziałkową był tam jeszcze, we wtorek zniknął. Przypuściwszy, że między cyganami i Simpsonem istniało porozumienie, przychodzimy do wniosku, że koń był do nich prowadzony, kiedy Straker go zdybał, i że być może u nich się teraz znajduje.

— Rozumie się, że to możebne.

— Obszukaliśmy wszystkie błota dokoła, lecz po cyganach nawet ślad przepadł. Kazałem także przetrząść i przepatrzyć wszystkie staj-

nie i zagrody w Tawistoku, tudzież całą okolicę w promieniu dziesięciomilowym.

— Zdaje się, że tu w pobliżu są jeszcze inne stajnie?

— Tak — i to jest okoliczność, którą mieć trzeba wielce na uwadze. Ponieważ Debora, koń, należący do tych stajen, był drugim faworytem, korzystną było dla nich rzeczą, by zniknął pierwszy faworyt. Berajter Silas Braun poczynił wiele zakładów, polegając na swym koniu; stosunek jego do biednego Strakera nie był wcale przyjazny: ta rzecz była pewną. Pomimo jednak, żeśmy przeszukali stajnie jak najstarannej, nie znaleźliśmy nic podejrzanego.

— Zupełnie nic?

— Najzupełniej.

Holms wtulił się głębiej w poduszki i umilkł; rozmowa się przerwała. Po kilku minutach podjechaliśmy do pięknego domku, stojącego koło drogi, pobudowanego z czerwonej cegły. Opoдал za parkanem ciągnął się budynek długi i niski. Dokoła — aż do skrajów horyzontu widniały błota i moczary, paprocią poszyte, więdnącą i pożółkłą; jednostajność widoku w jednym tylko miejscu przerywał zarys dalekich wież Tawistoku i szereg domków na zachodzie, gdzie były stajnie Kepłtońskie. Wyszliśmy wszyscy z powozu prócz Holmsa, który wciąż siedział z utkwionemi w przestrzeń oczyma, całkowicie pogrążony w myśleniu. I wtedy tylko,

gdym dotknął jego ramienia, drgnął i wysiadł z powozu.

— Wybacz pan, — rzekł do inspektora Gregori'ego, który datrzał na niego zdziwiony, — zamyśliłem się.

Z oczu jego i z wyrazu twarzy, ja, co znałem go tak dobrze, odrazu wyczytałem, że zagadka, która nas dręczyła, została przez niego rozwiązana; znaczenia jej atoli nie mogłem się domyślić.

— Panie Holms! czy pan chce zaraz udać się na miejsce wypadku?

— Przedtem pragnąłbym zatrzymać się tu trochę i zadać parę pytań, które mnie interesują. Wszak prawda, że Strakera przeniesiono tutaj?

— Tak jest. Leży na górze. Śledztwo naznaczone na jutro.

— On służył u pana kilkanaście lat, nieprawdaż, panie pułkowniku?

— Tak. Był sługą zawsze wzorowym.

— Przypuszczam, że zrobiliście panowie spis rzeczy, które znaleźliście w jego kieszeni.

— Rozumie się. Leżą one tu w sali. Jeżeli pan pragnie, może pan je obejrzeć.

— Z całą przyjemnością.

Weszliśmy wszyscy do sali i zasiadliśmy przy okrągłym stole. Po chwili inspektor podał nam kilka przedmiotów, które wyjął z czworokątnego pudełka metalowego. Były to: pudełko zapalek, dwucalowa łojowa świeczka, sakwa ze

skóry foczej, zawierająca uncyę tytoniu, srebrny zegarek z łańcuszkiem złotym, kilka papierów i nożyk z trzonkiem z kości słoniowej, z ostrzem cienkiem i giętkim, wyrobu fabryki Wejsa i S-ka w Londynie.

— Jaki oryginalny nóż, — rzekł Holms, biorąc go i przypatrując mu się z uwagą. — Ponieważ są tu ślady krwi, przypuszczam, że to ten sam, który był w ręku zabitego? Ten nóż, Watsonie, jeśli się nie mylę, ma związek z waszą profesją.

— Tak jest. Jest to nóż, jakiego używamy przy zdejmowaniu katarakty ocznej, — odrzekłem.

— Tak też przypuszczałem. Cienkie to ostrze przeznaczone jest do subtelnej roboty. Rzecz ciekawa, dlaczego Straker wziął to ze sobą podczas swej nocnej wyprawy, tem ciekawsza, że nóż się wcale nie zamyka.

— Ostrze to było w skórzanym futerale, który znaleźliśmy niedaleko od trupa ofiary, — rzekł inspektor. — Żona jego stwierdziła, że nożyk ten od kilku dni już leżał na tualetce i że Straker wziął go, kiedy wychodził z pokoju. Broń to na wroga zaiste nie szczególna, wziął to jednak widocznie, nie mając nic innego pod ręką.

— To możebne. No, a te papiery?

— Trzy z nich — to rachunki za siano. Tu oto — polecenie pułkownika Rossa, a tu — rachunek krawcowej na trzydzieści siedm fun-

tów piętnaście szylingów, od madame Lesuryez z Bandstritu na imię Wiliama Derbiszura. Pani Straker powiada, że Derbiszure — przyjaciel jej męża, i że listy do niego czasami przychodziły na ich imię.

— Ho, ho! Ależ ta pani Derbiszure ma gusta niepowszednie, — zauważył Holms, przeglądając rachunek. — Dwadzieścia dwie gwinee jedno ubranie — to dosyć wiele. No, zdaje się, żeśmy już wszystko tutaj obejrzeni i że teraz możemy się udać na miejsce wypadku.

Gdyśmy wychodzili z salonu, jakaś niewiasta, która widocznie czekała na nas w korytarzu, postąpiła krok naprzód i schwyciła za rękę inspektora. Twarz jej była blada, zapadła; znać było, że przeszła wielkie nieszczęście.

— Cóż? znaleźliście ich panowie? pojma-
liście? — zapytała.

— Nie, pani Straker! Dotychczas — nie. Lecz oto przybył z Londynu pan Holms, żeby nam pomódz. Niech pani będzie spokojną; uczynimy wszystko, co będzie w naszej mocy.

— Zdaje się, żeś widział panią niedawno w Plimuth, na jakimś pikniku, pani Straker! Czy tak? — zapytał Holms.

— Nie, panie, pan się myli.

— Patrzcie państwo! Mógłbym przysiąc, że to pani była. Miała pani na sobie suknię koloru niebieskiego z przybraniem z piór strusich.

— Nigdy nie miałam takiej sukni, proszę pana, — rzekła zaskoczona.

— Ha, w takim razie omyliłem się, — rzekł Holms; a przeprosiwszy ją za sprawiony niepokój, wyszedł wraz z inspektorem z mieszkania. Nie uszliśmy jeszcze kilkunastu kroków, gdy znaleźliśmy się w obrębie tego miejsca, na którym znaleziono trupa; krzak, na którym był porzucony surdut, znajdował się tuż w pobliżu.

— Wszak prawda, że tej nocy nie było wiatru? — zapytał Holms.

— Nie! był tylko deszcz dość duży.

— W takim razie surdut był tu złożony, i wiatr nie mógł go aż tu zapędzić.

— Prawdopodobnie, był złożony.

— To — ciekawe. Ha, ha! Ależ tu ziemia porządnie stratowana. Bez wątpienia, od poniedziałku odcisnęło się tu wiele śladów.

— Bynajmniej. Położyliśmy tu z boku maty i na nich stojąc, oglądaliśmy.

— Wybornie.

— Oto mam tutaj w torbie jeden z butów, które były na nogach Strakera, jeden but Ficroya Simpsona i podkowę Srebrzystej Gwiazdy.

— Kochany inspektorze! Przeszedłeś pan sam siebie!

Holms wziął torbę z rąk inspektora i przysunawszy matę, położył się na niej brzuchem,

a podparłszy głowę łokciami, począł najuważniej badać wszystkie ślady.

— Otóż to tak! — wykrzyknął nagle. — A to co znowu?

Była to zapalka woskowa, do połowy spalona i tak błotem pokryta, że wyglądała, jak kawałek patyczka.

— Nie rozumiem, jak mogłem to przeoczyć, — rzekł inspektor głosem niezadowolonym.

— Bo też trudno ją było dojrzeć w błocie. Ja ją dla tego tylko znalazłem, żem jej szukał właśnie.

— Jakto? Szukałeś jej pan?

— Nie inaczej. Przypuszczałem, że znajdę coś w tym rodzaju.

Wyjął buty z worka i każdy z nich przykładał do śladów na ziemi. Potem obszedł całe to miejsce do koła i nawet podpełzał pod krzaki i paprocie.

— Wątpię, czy pan co jeszcze znajdzie, — rzekł inspektor. Przepatrzyłem wszystko naokół w promieniu sto yardowym.

— A! w takim razie, — rzekł Holms, powstając z ziemi, — nie śmiem sprawdzać po panu. Pragnąłbym jednakże, zanim się ściemni, przejść się trochę po błotach, a co się tycze tej podkowy, to biorę ją do kieszeni — na szczęście.

Pułkownik Ross, który zaczął już zdradzać oznaki zniecierpliwienia z powodu marudnego i drobiazgowego sposobu badania mego towarzysza, spojrział na zegarek.

— Rad był bym, panie inspektorze, żeby pan ze mną powrócił, — rzekł, — chciałbym się jeszcze naradzić z panem co do paru rzeczy, a także co do tego, czy wykreślić mego konia z listy kandydatów do biegów.

— Rozumie się, że — nie! — rzekł Holms stanowczo, — nigdy bym tego nie robił.

Pułkownik skłonił się.

— Dziękuję panu bardzo za radę, sir, — rzekł, — czekamy na pana w domu biednego Strakera, gdy pan skończy przechadzkę; a wtedy pojedziemy wszyscy do Tawistoku.

To rzekłszy, skręcił wraz z inspektorem, ja zaś i Holms udaliśmy się na błota. Słońce już zapadało za stajnie Kepłtońskie, blaskiem dogorywającym oświetlając pejzaż dokoła. Przyroda atoli nie istniała tym razem dla mego towarzysza. Szedł, pogrążony w głębokiej zadumie.

— Oto, o co chodzi, Watsonie! — rzekł nareszcie. — Porzućmy na chwilę pytanie, kto zabił Strakera, pomyślmy natomiast o tem, co się stało z koniem. Przypuśćmy, że w chwili zbrodni, czy po jej spełnieniu, koń się wyrwał i uciekł; gdzież więc może być obecnie? Koń — zwierzę gromadne. Pozostawione swemu instynktowi, albo powróciło by do Kings Pajlendu, albo pociągnęło do Kepłtownu. Dla czego wnosimy, że nie ma go na błotach? Bowiem do tej pory już był by go kto zobaczył. Dla czego

cyganie nie mogli go uprowadzić? Bowiem ci ludzie przy popłochu najmniejszym uciekają wraz z obozem, byle nie mieć zatargów z policją. Nie mogli liczyć na to, że konia sprzedadzą. Ryzykowali by nazbyt wiele i nicby nie zyskali. Wszak tak?

— Gdzież on tedy?

— Powiedziałem ci już, że musiał lub powrócić do Kings Pajlendu lub uciec do Kepltawnu. W Kings Pajlencie go niema, jest zatem w Kepltawnie. Zawierzmy tej hipotezie i obaczmy, dokąd nas zawiedzie. Ta część błota, jak mówił inspektor, jest sucha i twarda. W kierunku jednak do Kepltawnu pochyla się znacznie i ztąd nawet widać, że jest tam wielkie wgłębienie, które w poniedziałek wieczorem musiało być napełnione wodą. Jeżeli nasze przypuszczenie jest słuszne i koń tedy uciekał, to winniśmy znaleźć tam jego ślady.

Szliśmy dosyć szybko i właśnie zbliżyliśmy się do wgłębienia, o którym była mowa. Z polecenia Holmsa udałem się naprawo, on zaś poszedł na lewo; nie uszedłem jednak jeszcze stu kroków, jak usłyszałem, że woła na mnie, a obejrawszy się, ujrzałem, że macha na mnie ręką przywołując. Na ziemi wilgotnej był wyraźny ślad koński, a przyłożona podkova pasowała w zupełności.

— Niech żyje wyobraźnia! — wykrzyknął Holms. — To jedno, czego brak Gegeriemur.

Odtworzyliśmy sobie w wyobraźni, co mogło nastąpić, i postępowaliśmy podług jej wytworu; okazało się ostatecznie, żeśmy nie chybili. A teraz chodźmy dalej!

Przeszliśmy tę część błotnistą i wyszliśmy na suchy teren; potem jeszcze ćwierć mili, znowu błoto i znowu te same ślady. Potem na przestrzeni pół mili zginęły, aż ukazały się znowu koło samego Koptawnu. Holms pierwszy je zauważył i wskazał tryumfująco. Tuż koło śladów końskich były drugie — ludzkie.

— Ależ tu nie tylko końskie ślady, — wykrzyknąłem.

— Ma się rozumieć. Przedtem atoli były tylko końskie. Aha! a to co?

Ślady podwójne naraz się urwały — a opodal znowu się znaczyły w kierunku do Kings Pajlendu. Holms i ja zawróciliśmy. Holms miał oczy utkwione w te ślady, ja atoli spojrziałem nieco na stronę i ku wielkiemu memu zdziwieniu zauważyłem, że te same ślady znów się zwracały, idąc w poprzednim kierunku.

— Dzięki stokrotne, Watsonie, — rzekł Holms, gdym zwrócił mu na to uwagę, — oszczędziłeś nam kawał spaceru bezcelowego; teraz i my śmiało możemy zawrócić.

Nie długo nam wypadło dybać temi śladami. Kończyły się na drodze asfaltowej przed wrotami stajni kepltawńskiej. Gdyśmy się zbliżyli ku stajni, wyskoczył ku nam groom i krzyknął:

— Czego tu potrzeba? Proszę się wynosić!

— Chciałem się tylko dowiedzieć, — rzekł Holms, sięgając do kieszeni, — czy zastanę pana Silasa Brauna — jutro o piątej zrana?

— Naturalnie, sir! Jeżeli kto tu rano wstaje, to napewno on. Ale oto idzie, niech sir z nim pomówi. Nie, nie! dziękuję bardzo, sir, ale przyjąć nie mogę. Gdyby zobaczył, że biorę pieniądze, wypędził by mnie odrazu. Potem, gdy nie będzie widział...

Podczas gdy Holms chował z powrotem do kieszeni sztukę półgwinejową, z wrót stajni wyszedł człek w pełni lat ze szpicrutą w dłoni.

— Cóż to jest, Dawson? Mówiłem, żeby nie rozmawiać! Wracaj do swojej roboty! A panom tu czego potrzeba, do stu dyabłów!

— Chciałbym zamienić z panem słów parę, — rzekł Holms najpotulniej.

— Nie mam czasu na rozmowy z włóczęgami. Obcym wstęp tu wzbroniony. Wynosić się, bo każę spuścić psy z łańcucha!

Holms pochylił się nieco naprzód i szepnął coś do ucha berajterowi. Ow zadrżał i poczerwieniał aż do białek.

— To fałsz! — wykrzyknął. — Podłe kłamstwo!

— Pięknie! Ale swoją drogą możebyśmy o tem pomówili. Tu — przy wszystkich, czy na osobności: jak pan woli?

— Proszę! Niech pan pozwoli ze mną! Holms uśmiechnął się nieznacznie. „Przepraszam cię, Watsonie, że chwilę cię tu zatrzymam“, — rzekł do mnie.

— A teraz jestem na pańskie usługi, panie Braun!

Po upływie co najmniej dwudziestu minut powrócił Holms razem z berajterem. Nigdy nie widział, by w tak krótkim czasie mógł się tak zmienić człowiek, jak Silas Braun. Twarz miał bladą, jak płótno, na czole pot się kroplił i ręce tak mu się trzęsły, że szpicruta dygotała, jak wichrem miotana. Z dawnego hardego obejścia nie pozostało ani cienia; jak pies, bacznie, potulnie patrzył w twarz swego pana.

— Wszystko, co pan rozkazał, wykonam najzupełniej, — rzekł pokornitko.

— Byle tylko — skrupulatnie, — rzekł Holms, patrząc mu w oczy natarczywie.

— Najskrupulatniej, jak pan rozkazał! Zostanie zaprowadzony na miejsce. Czy zmienić zabarwienie?

Holms chwilkę pomyślał, a potem nagle się roześmiał. „Nie! nie potrzeba!“ rzekł. „Napiszę do pana w tej sprawie. Ale jeżeli mnie pan oszuka, to...“

— Niech pan będzie spokojny i zaufa mi najzupełniej!

— Masz pan strzedz jej, jak oka w głowie, aż do tego dnia!

— Może pan być pewny zupełnie!

— Tak, jestem tego pewien. Jutro zaś dowiesz się pan o mnie.

Skręcił nagle i odszedł, nie tknąwszy drżącej ręki, która się ku niemu wyciągnęła. Poszliśmy z powrotem w kierunku Kings Pajlendu.

— Nigdy jeszcze nie spotkał większego łotra od tego Silasa Brauna! — zauważył Holms.

— Więc koń u niego?

— Z początku chciał się zapierać, ale mu tak szczegółowo odtworzyłem krok za krokiem, co robił tego ranka, że jest najpewniejszy, iż byłem przy tem. Zwróciłeś już prawdopodobnie uwagę na to, że ślady ludzkie odpowiadają w zupełności kształtowi jego butów z wążkami nosami. Prócz tego nikt inny nie ważył by się na to. Opisałem mu ze wszystkimi szczegółami, jak rankiem wstawszy, trybem zwykłym wyszedł za wrota i pierwsza rzecz, jaką był ujrzał na błotach, był koń; jak poszedł za nim i ku wielkiemu zdumieniu po centce białej na łbie poznał, że to była ta, która się zwała „Srebrzystą Gwiazdą“ od tej właśnie centki. Traf ślepy dawał mu w ręce konia, który jeden tylko mógł współzawodniczyć z tym, na którego on wielką stawkę postawił. Opowiedziałem mu następnie, jak pierwszym odruchem myśli jego było, żeby odprowadzić konia właścicielowi; jak pokusa podszeptała mu kradzież, jak zmożła nareszcie; jak wziął konia, zaprowadził do Kepl-

tawnu i schował. Gdym mu to wszystko odzwierciadlił, przyznał się nareszcie, dbając już tylko o swoją skórę.

— Ale przecież stajnie w Kepłtawnie rewidowali?

— Ha, ha! To sądzisz, że taki stary wyga nie potrafi zatrzeć śladów swego szelmostwa?

— Ale jakże? pozostawiasz konia w jego rękach? przecie go może skaleczyć lub przypawić o jaką ułomność?

— Mój drogi! Będzie go strzegł, jak oka w głowie! Wie dobrze, że od tego zależy jego własna całość.

— Zdaje się, że pułkownik Ross nie należy do tych, którzy lekko takie sprawy traktują.

— Ach! nie chodzi mi o pułkownika Rossa! Robię zawsze, jak mi się podoba i nie myślę wcale opowiadać wszystkiego, co wiem. Na tem polega moja wyższość śledcza, jako osoby prywatnej. Nie wiem, czyś zwrócił uwagę, ale pułkownik nie był względem mnie osobliwie grzeczny, mam zamiar przeto zabawić się nieco jego własnym kosztem. Przedewszystkiem, nic mu nie mów o koniu.

— Naturalnie, jeżeli tego pragniesz.

— A zresztą koń, nawet tak znamienity, głupstwem jest wobec pytania, kto zabił Strakera.

— Przypuszczam, że teraz tem się zajmiesz gorliwie.

— Mylisz się, dzisiaj wracamy do Londynu.

Byłem wprost przerażony słowami mego druha. Bawimy zaledwie od paru godzin w Dewonszure, śledztwo tak świetnie rozpoczęte i naraz — cofa się od dalszej pracy, chce wracać: tego-m nie mógł pojąć zupełnie. Aż do samego domu berajtera nie mogłem wydobyć z niego ani słowa wyjaśnienia. Pułkownik i inspektor czekali już na nas w salonie.

— Ja i mój przyjaciel wracamy wieczornym pociągami do Londynu, — rzekł Holms. — Nałykaliśmy się do syta pięknego powietrza tutejszego!

Inspektor otworzył szeroko oczy, pułkownik uśmiechnął się szyderczo.

— Więc pan nie ma nadziei na wykrycie zabójcy, — zapytał.

Holms wzruszył ramionami.

— Wiadomo, kłopotu będzie nie mało, zanim się wykryje, — rzekł dosyć niedbale, — mam atoli nadzieję, że koń pański będzie się ścigał we wtorek — i dla tego proszę pana o przygotowanie odpowiedniego dzokiejaja. A propos, czy mogę prosić pana o fotografię Dżona Strakera?

Inspektor wyjął fotografię ze swej kieszeni i podał ją Holmsowi.

— Kochany panie Gregori! uprzedzasz pan

po prostu, moje życzenia! Przepraszę jeszcze panów na chwilę, ale muszę zadać kilka pytań służącej.

— Wyznam otwarcie, że się rozczarowałem co do tej znakomitości londyńskiej, — rzekł pułkownik Ross, gdy Holms wyszedł z pokoju, — wieśmy teraz akurat tyle, co bez niego.

— No, ale przecie przyrzekł panu, że koń pański będzie się ścigał we wtorek.

— Tak! przyrzekł, to prawda, — rzekł pułkownik głosem niechętnym, — ale swoją drogą, jabyłem wolał konia, niżli przyrzeczenie.

Już chciałem stanąć w obronie mego przyjaciela, gdy on sam wszedł do pokoju.

— No, panowie! — rzekł do nas, — jestem gotów do wyjazdu.

Gdybyśmy się sadowili w powozie, naraz Holmsowi błysnęło coś widać do głowy. Przywołał chłopca, który nam posługiwał, i zapytał go:

— Czy macie tu owce na folwarku?

— A jakże! są, panie!

— Kto ich dogląda?

— Ja, panie!

— Czy nic nadzwyczajnego nie zauważyłeś pośród nich ostatnimi czasy?

— Nic, panie! chyba — że trzy sztuki kuleją od niedawna.

Dostrzegłem, że Holms ogromnie ucieszył się tą wieścią: zatarł ręce i roześmiał się głośno.

— Cudownie, wyśmienicie, mój Watsoniel — rzekł, szczypiąc mnie w rękę. — Panie Gregori! Toż zwróć pan uwagę na tę epidemię szczególną! No! Jazda!

Pułkownik wyrazem swej twarzy aż nadto zdradzał niewiarę w sztukę mego przyjaciela, natomiast inspektor Gregori żywo się przejął wskazówką.

— Sądziś pan, że to rzecz godna uwagi?

— Najbaczniejszej.

— Może jeszcze jaki szczegół, coby ważył w tej sprawie?

— Zwróć pan uwagę na zachowanie się psa podczas owej nocy.

— Ależ pies był najspokojniejszy!

— Otóż to właśnie! — rzekł Holms.

W dwa dni później Holms i ja siedzieliśmy znowu w wagonie i jechaliśmy do Wiczesteru na wyścigi. Na dworcu czekał na nas pułkownik, by zawieść nas w swoim powozie na miejsce wyścigów.

Twarz jego była poważna i surowa, zachowywał się sztywno i oziębłe.

— No, i nie oglądałem dotychczas swego konia! — rzekł do Holmsa.

— A czy poznasz go pan przynajmniej, gdy zobaczysz? — zapytał Holms.

Pułkownik obraził się.

— Dwadzieścia lat bywam na wszystkich wyścigach i nikt mi dotychczas nie robił takiego zapytania! Lada dziecko go pozna po białej centce na łbie i po srokatych przednich nogach.

— Czy „obstawiony“ pański koń?

— Wyobraź pan sobie, stawek wciąż przybywa, nie rozumiem, doprawdy, jak to sobie tłumaczyć.

— Hm! — rzekł Holms, — musiał już ktoś przewąchać, o co chodzi. To jasne.

Zbliżyliśmy się do toru i rzuciliśmy okiem na program wyścigowy. Oznajmiał — co następuje:

„Nagroda Wessekska. 50 suwerenów każdy h. st., i 1000 suwerenów nagroda specjalna. Dla czteroletków i pięcioletków. Druga nagroda — 300 funtów ster. Trzecia 200 funt. st. Bieg: mila i pięć ósmych.

1). „Murzyn“, p. Newtona (czapka czerwona, kurtka brązowa).

2). „Pudziłast“, pułkownika Warghousa (czapka niebieska, kurtka niebieska z czarnem).

3). „Debora lorda Bekutora (czapka i kurtka żółte).

4). „Srebrzysta Gwiazda“ pułkownika Rossa (czapka czarna, kurtka czerwona).

5). „Iris“, hr. Belmorala (pasy czarne i żółte).

6). „Rasper“, lorda Singlforsa (czapka amarantowa, kurtka czarna).

— Co to takiego? — wykrzyknął Ross. „Srebrzysta gwiazda“ ściga się?

— Widocznie, — rzekłem. — Ogółem sześć koni.

— Tak! i wszystkie już wyszły. A więc i mój koń musi być na torze! Gdzież on tedy? Nie widzę! — gorączkował się pułkownik.

— Zaraz, zaraz. Oto już pięciu przejechało, otóż i szósty, to on zapewne.

Gdym mówił te słowa, przegalopował obok nas gniady koń, a nim siedział dzokiej, ubrany w barwy pułkownika: czapka czarna, kurtka czerwona.

— Ależ to nie mój koń! — krzyknął pułkownik. — Wszak niema ani jednego białego włoska! Coś pan urządził, panie Holms?

— Cierpliwości! poczekajmy na wynik wyścigów! — rzekł Holms najspokojniej. Przez pięć minut biegu nie odejmował od oczu lornetki, którą wziął odemnie. — Wybornie, znakomicie! Cudowny start! — rzekł nagle. Oto już na zakręcie, dobiegają do mety!

Z powozu naszego widać było wszystko, jak na dłoni. Konie biegły tak równo, że można je było wszystkie nakryć jedną płachtą. Wkrótce atoli poczęły wysuwać się

zwolna barwy stajni kepltawńskiej. Nie długo jednak przodowały. Gdy przebiegały koło nas, Debora była już druga. Prowadził koń pułkownika Rossa, który nagle się odsadził o jakie sześć jardów i w tym stosunku zakończył start. Druga przyszła Debora, trzeci — koń hr. Belmorała.

— Koń mój zdobył nagrodę, — wykrzyknął pułkownik, — przyznam się, nic a nic z tego nie rozumiem. Czy nie uważa pan, panie Holms, że pora już nareszcie rozwiązać tę zagadkę?

— Ależ naturalnie, pułkowniku! Dowie się pan wszystkiego. Tymczasem chodźmy do konia.

Gdyśmy zbliżyli się do zagrody, gdzie wazono konie i dokąd mieli dostęp właściciele koni, oraz nieliczni sportowcy, Holms, wskazując na konia-zwycięzcę, rzekł:

— Dostatecznie, byś pan kazał spirytusem zmyć łeb i nogi konia. Obaczysz pan wtedy, że to dawna pańska „Srebrzysta gwiazda”.

— Co pan mówi?!

— Pozwoliłem sobie puścić ją na biegi w takim stanie, w jakim odnalazłem.

— Aleś pan czarodziej, doprawdy, kochany panie Holms! Koń, zdaje się, zdrow i nietknięty. Nigdy, zda się, nie był rzeźwiejszy! Czuję się bardzo zawstydzonym, żem zwątpił w pańską sztukę. Wyświadczyłeś mi pan wiele, zwracając

tego konia. Rad jednak byłbym jeszcze bardziej, gdybyś pan odnalazł zabójcę Dżona Strakera.

— Już-em go odnalazł, — rzekł Holms spokojnie.

Pułkownik i ja spojrzeliśmy na niego zdziwieni.

— Znalazłeś pan? gdzie? Kto on jest?

— Tu jest.

— Gdzie? tu?

— Ależ tu — obok!

Pułkownik zaczerwienił się gniewnie.

— Wiem o tem, panie Holms, że wiele panu obowiązany, — rzekł hamując się, — muszę jednak panu oświadczyć, że powiedzenie pańskie uważam za żart niesmaczny.

Holms parsknął śmiechem.

— Zapewniam pana, że nie miał pana na myśli, pułkowniku! — rzekł wesoło. — Zabójca stoi tuż za panem.

To rzekłszy, odwrócił się i położył rękę na szyi konia.

— Koń?! wykrzyknęliśmy obaj jednocześnie.

— Koń, we własnej postaci! Nadomiar dodać muszę, że wina jego znacznie się umniejsza, działał bowiem jedynie w obronie własnej całości i własnego honoru. Co się tycze Dżona Strakera, to tylko rzec mogę, że nie wart był pańskiego zaufania. Ale oto dzwonek. A ponieważ mam zamiar wygrać jeszcze na tych

wścigach, odkładam przeto opowiadanie na chwilę wolniejszą.

Tegoż wieczoru, gdyśmy we trzech, Holms, ja i pułkownik, wracali pociągiem do Londynu, nie zauważyliśmy nawet, jak czas nam przeleciał, bowiem Holms opowiadał nam szczegóły wypadku w Dartmurze, jak również te drogi, którymi zdążał do wykrycia.

— Dziś to mogę powiedzieć, — wtajemniczał nas, — że przeświadczenie, jakie wyrobiłem sobie o tym wypadku, czytając sprawozdania gazet, było z gruntu fałszywe. Można by było — mniemam — wyciągnąć z nich prawdę, gdyby nie obfitość tych szczegółów, które ją maskowały. Jechałem na miejsce wypadku z całym przeświadczeniem, że Ficroy Simpson — jest istotnym zabójcą, chociaż zdawałem sobie najzupełniej sprawę z tego, że podejrzenia przeciw niemu nie są dostateczne.

— Gdyśmy we czterech jechali powozem i gdyśmy zbliżali się do domu berajtera, myśli mej narzucił się raptownie szczegół z baraniną. Pamiętacie zapewne, że byłem wtedy bardzo roz-targniony i że pozostałem w powozie, gdyście już wszyscy wyszli. Nie mogłem się dość nadziwić, że fakt tak ważny pozostawiał dotychczas bez uwagi.

— Przyznam się panu, że i teraz jeszcze nie wiele rozumiem, — rzekł pułkownik.

— Otóż — było to pierwsze ogniwo, koniec nitki tego kłębaka, który mnie dalej poprowadził. Bo proszę rozważyć. Proszek opium nie jest rzeczą, która nie ma smaku. Smak jego nie jest nieprzyjemny, bądź co bądź jednak bardzo wyraźny i zastanawiający. Gdyby był dosypany do innej jakiej potrawy, smak był by go zdradził odrazu. Pieczeń barania smak ten pochłania w zupełności. Rzecz prosta, że Ficroy Simpson nie mógł chyba tak zarządzić, żeby dnia tego w domu berajtera było właśnie to danie na wieczerzę; tak jak mniej jeszcze prawdopodobne, by dnia tego wsypał ów proszek wypadkowo, bez przygotowania. To upada bezkrytycznie. Simpson tedy pozostaje zupełnie na stronie, a cała nasza uwaga ma się teraz skupić na Strakarze i na jego żonie, bowiem oni jedni mogli dnia tego zadysponować na wieczerzę baraninę. Opium zostało wsypane wtedy, gdy była już wydzielona porcja dla dyżurującego chłopca; to widocznem jest z tego, że dwaj inni chłopcy jedli baraninę bez żadnych złych następstw. Któż mógł mieć dostęp do jadalni wydzielonego — tak, żeby służąca nie spostrzegła?

— Zanim rozwiązałem to pytanie, zwróciłem uwagę na tę okoliczność, że w noc tę nie szczekał pies zupełnie. To, co tam zaszło dnia tego z Simpsonem, wskazuje dokładnie, że pies był w stajni; tymczasem, gdy ktoś wchodził do stajni i gdy wyprowadzał konia, pies

nie czekał zupełnie, byli by się bowiem pobudzili chłopcy na strychu. Widocznie tedy, że ów gość nocny był psu dobrze znany.

— Byłem tedy przekonany, że Dżon Straker chodził w nocy do stajni i że wyprowadził konia. Lecz w jakim celu? Cel był widocznie nie bardzo zaszczytny, bo pocóż by miał usypiać własnego sługę. Mimo to nie mogłem się dobić ładu. Zdarza się nieraz, że berajterowie zarabiają ogromne sumy, stawiając przeciw własnym koniom, a to przy pomocy swych agentów, sami zaś czuwają wtedy nad tem, żeby koń ich nie wziął nagrody. Czasami do tych sprawek przypuszcza się dzokieję. Czasami znowu używa się środków bardziej pewnych i — delikatnych. Co było w tym razie? Miałem nadzieję, że zawartość kieszeni naprowadzi mnie na ślad.

— Tak się stało w istocie. Pamiętacie panowie zapewne, jaki to dziwny nóż znajdował się w ręce zabitego. Nóż ten najoczywiściej nie był użyty do obrony. Nóż taki, jak oświadczył nam doktor Watson, służy do bardzo subtelných i bardzo trudnych operacyj na ciele. W noc tę miał właśnie spełnić takie zadanie. Wiadomo zapewne panu, panie pułkowniku, z praktyki gospodarskiej, że na nodze końskiej w pewnem miejscu pod pęcina można zrobić drobniutkie cięcie, od którego po krótkim czasie nie zostanie najmniejszego śladu. Po upływie atoli pe-

wnego czasu koń zaczyna kuleć; przypisuje się to zazwyczaj, w braku śladów wyraźnych, lub chwilowemu rozdęciu żył lub reumatyzmowi, nigdy zaś ludzkiemu łotrostwu.

— A gałgan! nikczemnik! — oburzył się pułkownik.

— Tem się właśnie tłumaczy, dla czego Straker postanowił wyprowadzić konia nieco dalej na błota. Zwierzę tak czujne napewno by pobudziło wszystkich, gdyby poczuło ukłucie noża. Dokonać tego swobodnie można było tylko gdzieś dalej, na otwartem powietrzu.

— Ślepy byłem! — wykrzyknął pułkownik.
— Oto na co zażądał odemnie świecy i zapalek!

— Niewątpliwie. Rozpatrzywszy jego rzeczy, udało mi się nie tylko wykryć sposób zbrodni, lecz i wysledzić motywy tej zbrodni. Jako osoba prywatna, wie pan zapewne, panie pułkowniku, że nikt w swej własnej kieszeni nie nosi cudzych rachunków. Dosyć ma chyba swych własnych. Odrazu zrodziło się podejrzenie w mej głowie, że Straker ma dwie rodziny, że kogoś utrzymuje swym kosztem. Cyfra na rachunku była znaczna, zawartość wskazywała, że wchodzi w grę kobieta; nadto kobieta z gustami nie byle jakimi. Choćbyśmy byli najhojniejsi względem naszych podwładnych, trudno przypuścić, by mogli oni sumptem naszej hojności obstałowywać suknie po 20 gwinei.

Rozpytałem panią Straker o to ubranie, rzecz prosta, tak, że nie mogła się niczego domyślić — i przekonawszy się, że sukni tej nigdy nie widziała, byłem już zgoła na tropie: pozostało tylko zanotować sobie adres krawcowej, pokazać jej fotografię Strakera — i mityczny Debozsurre zostanie wyświetlony.

— Potem wszystko już było jasnym. Straker zaprowadził konia do jaru, z kądem światło świecy było niewidzialnym. Simpson, uciekając przed psami, zgubił krawat. Straker, prowadząc konia, natrafił na krawat i podniósł go; miał może zamiar przewiązać nim nogę konia i w tym celu trzymał go w ręku. Doszedłszy do jaru, zaszedł z tyłu konia i zapalił światło. Koń, przestraszony raptownym blaskiem, przeczuwając zarazem, że coś złego się święci, wierzgnął nogą i stalową podkówną utrafił w skroń Strakera. Ow, nim zabrał się do konia, nie bacząc na deszcz, zdjął surdut, by poręczniej mu było przy robocie. Gdy upadał od uderzenia kopyta, trzymał lancet w dłoni; upadł tak szczególnie, że lancet wbił mu się w biodro; był jeszcze tyle przytomny, że cofnął lancet od rany i tym sposobem zamaskował ten czyn własnoręczny, choć wypadkowy. Wszak jasne to wszystko?

— Ja sędzę! — zawołał pułkownik.

— Tak jasne, jak byś pan był naocznym świadkiem!

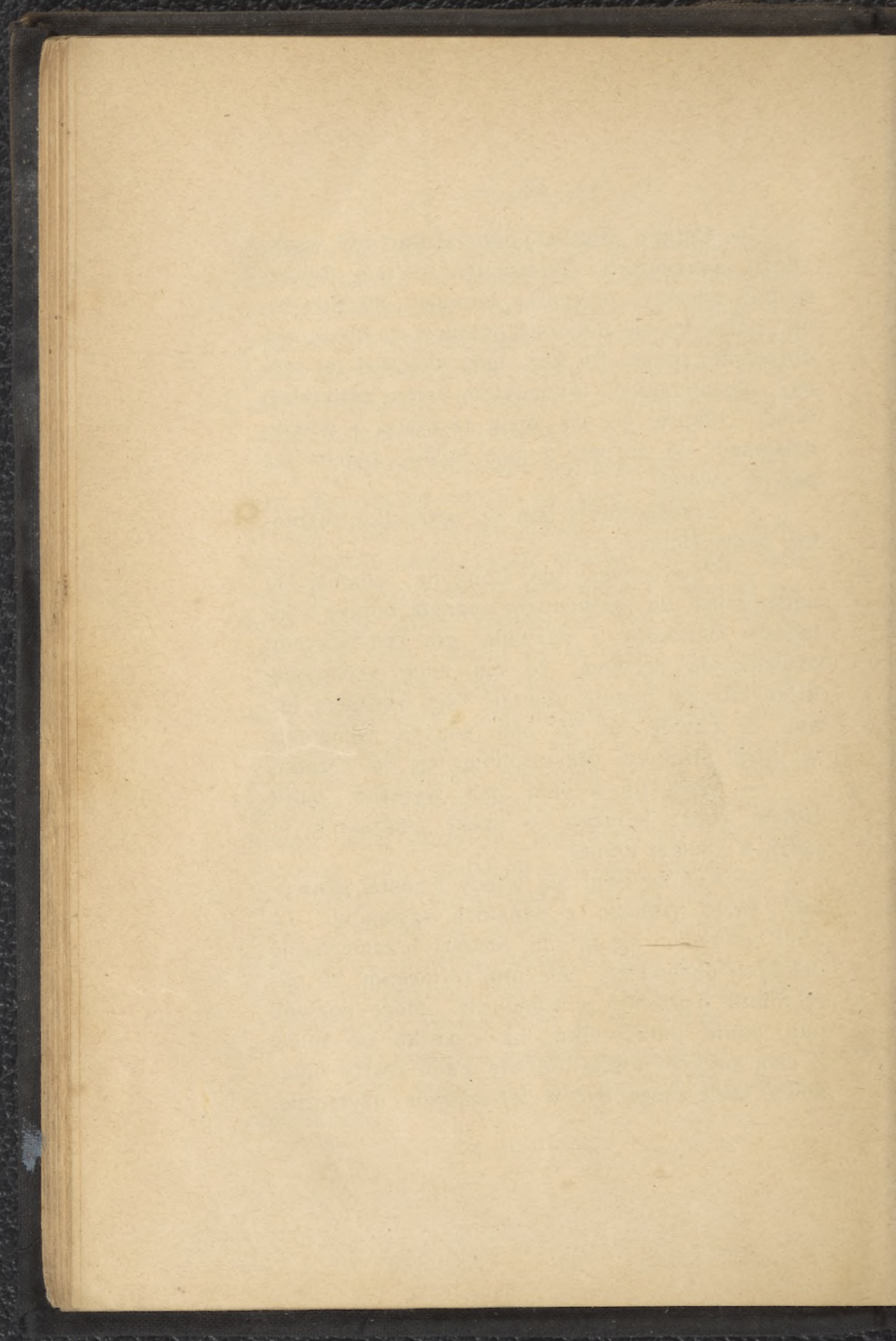
— Ostatni atoli mój domysł wart był wszystkich poprzednich. Wiedziałem o tem dobrze, że taki sprytny i przezorny człowiek, jak Straker, nie ważył by się dokonać operacyi na koniu bez uprzedniej próby. Na kim tedy dokonał tej próby? Spostrzegłem wypadkiem owce; zapytałem wtedy chłopca, jak się mają te owce, i dowiedziawszy się, że parę z nich kuleje, byłem już pewny swego.

— Prześlicznie-ś pan to wszystko rozmotał, panie Holms!

— Powróciwszy do Londynu, udałem się natychmiast do krawcowej; poznała odrazu z fotografii Strakera i nazwała go Deboszurem; oświadczyła przytem, że ma żonę szykowną, która lubi się bogato ubierać. Nie wątpiłem już ani na chwilę, że to ona właśnie wciągnęła w długi Strakera, przyczyniając się do zbrodni.

— Wszystko-ś nam pan wyjaśnił, panie Holms, prócz jednego, — rzekł pułkownik. — Gdzie-ś znalazł konia?

— Koń wyrwał się wtedy i został schwytany przez jednego z pańskich sąsiadów. Tu atoli wstawiam się za nim, prosząc o zaniechanie dalszych dochodzeń. Ale otóż i Klengam, za parę minut będziemy w Londynie. Może pozwoli pan, panie pułkowniku, na cygarko do mnie. Z całą przyjemnością udzielię panu reszty objaśnień, jakie mogą być w tej sprawie użyteczne.



DZIEDZICE Z REJGETH.

LIBRARY OF THE
MUSEUM OF COMPARATIVE ZOOLOGY

Dziedzice z Rejgeth.

Przyjaciół mój, mister Holms, przez długi czas nie mógł wrócić do zdrowia po trudach wyczerpujących tej wiosny, poniesionych w sprawie towarzystwa Niderlandzko-Sumatrzańskiego, o których tutaj zamilczymy; powiemy jedynie, że ubocznie doprowadziły one do zadania, bardzo niezwykłego i bardzo złożonego, gdzie przyjacielowi memu udało się zastosować nowy sposób w walce z przestępstwem.

14-go kwietnia otrzymałem telegram z Lugdunu, zwiastujący mi, że Holms leży chory w Hotelu Dubuy. W dwadzieścia cztery godziny byłem już przy łożu chorego i tu ku wielkiej mej radości obaczyłem, że trwoga była przedwczesna i że chory ma się lepiej, niż przypuszczałem. Żelazne jego zdrowie ugięło się w ciągu ostatnich dwóch miesięcy pod wysiłkiem pracy piętnastogodzinnej na dobę — i do tego w ciągu pięciu dni zrzędu, jak sam mi to opo-

wiadał. Pomyślny rezultat pracy nie uchronił ciała od reakcyi po takim wyęczeniu wszystkich sił — i wtedy gdy imię jego rozgłosnie brzmiało po całej Europie, a pokój jego cały był zasypany winszującemi i hołdującemi depezbami, on sam był pogrążony w zniechęceniu i najczarniejszym smętku. Nawet to przeświadczenie, że udało mu się osiągnąć to, czemu nie podołała zjednoczona policya trzech mocarstw, nie było w stanie rozproszyć mrocznych jego myśli.

W trzy dni potem byliśmy już na ulicy Beker, w jego mieszkaniu, przyjaciel mój atoli najwidoczniej potrzebował zupełnej zmiany miejsca i warunków, by mózdz powrócić do zdrowia; z przyjemnością tedy począłem rozmyślać, jak by spędzić tydzień lub dwa zdala od miasta, na łonie natury. Stary druh mój, pułkownik Gejter, którego leczyłem ongi w Afganistanie, kupił właśnie w tym czasie majątek koło Rejgeru w Serrey i zapraszał mnie niejednokrotnie, bym przyjechał do niego na dłużej. Podczas ostatniego widzenia się ze mną oświadczył mi, że czuł by się szczęśliwym, gdyby i mój przyjaciel zechciał ze mną przyjechać. Trzeba było, rzecz prosta, użyć pewnych fortelów, żeby namówić Holmsa do przyjęcia zaproszenia, gdy jednak dowiedział się, że pułkownik jest kawalerem i że nic nie będzie krępowało jego swobody, zgodził się ostatecznie. W tydzień tedy

po powrocie z Lugdunu byliśmy już pod dachem pułkownika.

Gejter był żołnierzem starej daty, który dużo widział na świecie; jak też przypuszczałem, znaleźli wkrótce z Holmsem pokrewne tematy. Wieczorem w dzień przyjazdu siedzieliśmy wszyscy w pokoju, który był zbrojownią. Holms w półleżącej pozycji spoczywał na kanapie, Gejter i ja oglądaliśmy nie wielką, lecz wspaniałą kolekcję broni palnej.

— Aha! dobrze, żem sobie przypomniał, — rzekł nagle pułkownik, — muszę wziąć jeden z rewolwerów na górę — na wypadek napaści.

— Napaści? — zapytałem.

— Tak. Ostatniemi czasy jakoś nie bardzo spokojnie u nas. W przeszły, zdaje się, poniedziałek złodzieje dostali się do tutejszego bogacza, starego Aktona. Chociaż nie wiele się obłowili, to jednak dotychczas jeszcze hulają.

— Czyż dotychczas nie natrafiono na ich ślady? — zapytał Holms, wyciągając się na kanapie.

— Dotychczas nie natrafiono. Wogóle jednak sędzę, że cała ta sprawa zanadto bagatelna, by mogła interesować pana, panie Holms, po tych czynach iście Heraklesowych, jakich pan niedawno dokonałeś.

Holms uśmiechnął się zadowolony.

— No, ale to coś ciekawego?

— Mojem zdaniem, nie. Złodzieje dostali się do biblioteki — i trudy ich nieszczęśliwie się opłacili. Przetrzęśli wszystko do góry nogami, pootwierali szafy i szuflady — i ostatecznie zabrali tylko jeden tom dzieł Szekspira, parę srebrnych lichtarzy, małe wagi z kości słoniowej do ważenia listów, mały termometr dębowy i kłębek szpagatu.

— A to komplet oryginalny! — zauważyłem.

— Widocznie zabrali to, co się najpierwej nawinęło im pod rękę.

— Ale jakże policya? nic dotychczas nie zrobiła? — wykrzyknął Holms ożywiony, — przecie to jasne, że to...

Pogroziłem mu palcem.

— Mój drogi! Jesteś tu dla odpoczynku. Ani mi się waży rozwiązywać nowych zagadnień, dopóki nie będziesz w zupełnym porządku z nerwami.

Holms wzruszył ramionami, z pokorą komiczną mrugnął w stronę pułkownika, i rozmowa przeszła na rzeczy mniej ryzykowne.

Los jednakże zrządził, że wszystkie moje zabiegi doktorskie poszły na marne; nazajutrz rankiem ta sama sprawa tak blisko otarła się o nas, że niepodobieństwem było nie zwrócić na nią uwagi — i oto pobyt nasz, mający na celu odpoczynek, zaznaczył się działalnością, której żaden z nas nie rokował.

Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, gdy nagle wbiegł do pokoju ekonom, zapominając o wszelkich względach należnych.

— Czy słyszał sir nowinę? — począł zdyszany. — Wie sir, co się stało u Kuningamów?

— Cóż tam? nowa kradzież? — zapytał pułkownik, z podziwu przewracając szklanę kawy.

— Zabójstwo!

— Ładne rzeczy! Któż zabity? Sam sędzia, czy jego syn?

— Ani jeden, ani drugi. Zabity stangret, Wiliam. Zabity wystrzałem z broni palnej prosto w pierś.

— Któż go tak ufetował?

— Zbój, panie łaskawy. Zbój, który zbiegł, zniknął bez śladu. Tylko co się zakradł do spichrza, gdy wtem wszedł Wiliam — i zbrodniarz strzelił do niego.

— Kiedy to było?

— Dziś w nocy, sir, koło dwunastej.

— Dobrze. Przyjedziemy tam potem, — rzekł pułkownik, zabierając się na nowo do śniadania. — Bądź co bądź, przykry to wypadek, — rzekł pułkownik po wyjściu ekonomy. — Akton jest naszym sędzią pokoju; to bardzo porządny człowiek. Zmartwi się zapewne tą stratą; stangret służył u niego przez długie lata i cieszył się dobrą opinią. Widocznie to ci sami złoczyńcy, którzy zakradli się do biblioteki.

— I zabrali takie dziwne rzeczy, — wtrącił Holms głosem zamyślonym.

— Tak jest.

— Hm! Może to wszystko ostatecznie będzie bardzo proste. Na pierwszy jednak rzut oka zdumiewa. Banda złoczyńców nigdy nie operuje w jednym i tem samym miejscu w tak krótkich odstępach czasu. Gdyś pan mówił wczoraj, że trzeba przedsięwziąć środki ostrożności, myślałem sobie, że chyba teraz nie zechce się nikomu w te strony zakradać. To wskazuje, jak często jeszcze myślę się w swych przypuszczeniach.

— Musi to być jakiś artysta miejscowy, — rzekł pułkownik. — Zresztą, to całkiem naturalne, że się zakradł do Kuningamów; po Aktonie to najbogatsi ludzie w tej okolicy.

— Najbogatsi?

— Tak jest. Przynajmniej co do obszarów majątkowych. Od wielu bowiem lat procesują się między sobą i to nie mało krwi im kosztowało. Stary Akton ma podobno prawo do połowy majątku Kuningamów i adwokaci jego chwycili się tego natarczywie.

— Jeżeli złoczyńca — miejscowy, — rzekł Holms poziewając, — nie będzie wszelkiego trudu przyłapać go. Ależ dobrze, dobrze, Watsonie, — dodał na moje znaki przestrzegające, — nie będę się do tego wtrącał.

— Pan inspektor Forrester! — oznajmił ekonom, otwierając drzwi naościęz.

W progu ukazał się młody mężczyzna, z delikatnemi rysami twarzy, o ruchach swobodnych.

— Dzień dobry panu, panie pułkowniku! — rzekł wchodząc. Przepraszam za moją wizytę, ale dowiedziałem się, że gości u pana mister Holms.

Pułkownik wskazał ręką mego przyjaciela.

— Mam nadzieję, mister Holms, — rzekł inspektor, składając ukłon, pełen uszanowania, — że zechce dopomóc nam pan w tej sprawie.

— Widzisz, Watsonie, los się spiknął na ciebie! — rzekł Holms śmiejąc się. — Mówiliśmy właśnie o sprawie, panie inspektorze, gdy pan wszedł. Może pan nam udzieli szczegółów.

I z temi słowy przybrał pozę, jaką zwykł w tych razach przybierać, a ja spostrzegłem odrazu, że sprawa moja przegrana.

— Co się tycze kradzieży u Aktona, to nic nie dociekleśmy. W obecnym jednak wypadku mamy, zdaje się, punkt oparcia — i nie ulega wątpliwości, że i tu, i tam działał ten sam sprawca — i sprawcę tego widziano.

— Czyż tak?

— Tak, sir. Po strzale atoli, od którego padł Wiliam Kirwan, zbiegł z szybkością charta. Mister Kuningam widział go z okna sypialni, a mister Alek Kuningam z korytarza. Było trzy

kwadrans na dwunastą, gdy wszczął się popłoch. Mister Kuningam tylko co się położył do łóżka, a mister Alek palił jeszcze cygaro, siedząc w szlafroku. Obadwaj słyszeli, jak stangret Wiliam wołał na pomoc, i mister Alek pobiegł na dół dowiedzieć się, co się dzieje. Drzwi na dole były otwarte; schodząc po wschodach, zobaczył dwoje ludzi, walczących ze sobą. Jeden z nich strzelił, drugi padł, i zabójca pomknął przez ogród, a potem przeskoczył przez parkan. Mister Kuningam, wyrzawszy przez okno sypialni, widział, jak człowiek ów przebiegł przez drogę, lecz zaraz zniknął mu z oczu. Mister Alek zatrzymał się, by zobaczyć, czy nie można udzielić pomocy ranionemu — i tym sposobem zabójca umknął bezkarnie. Wiemy tylko, że był wzrostu średniego i ubranie miał ciemne; nie tracimy przecież nadziei, że uda nam się złowić go ostatecznie.

— A cóż Wiliam robił w tem miejscu? Czy mówił co przed śmiercią?

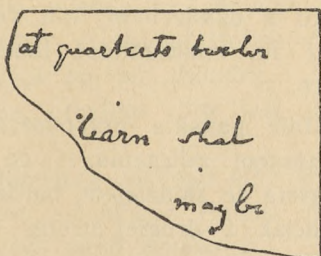
— Ani słowa. Mieszkał w małym domku stróża wraz z matką; widocznie, jako wierny sługa, wyszedł zobaczyć, czy wszystko koło domu w porządku. Wypadek ze złodziejami w domu Aktona zniewalał wszystkich do czujności. Złoczyńca wtedy widocznie zdołał już wyłamać drzwi (zamek jest popsuty), gdy Wiliam go przyłapał.

— Czy Wiliam mówił co do matki, kiedy wychodził z domu?

— Matka jego jest stara i głucha, nie mogliśmy nic od niej wydobyć. Wypadek ten pozbawił ją do reszty rozumu. Mamy natomiast dokument bardzo ważny; proszę, niech pan to obejrzy.

Z temi słowy inspektor wyjął z kieszeni zgnieciony świstek papieru i rozłożył go na kolanie.

— Znaleźliśmy to w dłoni zabitego. Stawowi to najoczywiściej rożek od całego arkusza. Ciekawa rzecz, że godzina, oznaczona na tym świstku, odpowiada najzupełniej porze, w której spełniono zabójstwo.



Należy przypuszczać, że zabójca wyrwał z rąk ofiary resztę papieru, lub że zabity oderwał ten strzępek od całości, która była w ręku

złoczyńcy. Z sensu można się tu domyślać jakiegoś wezwania na schadzkę.

Holms wziął ów świstek do ręki i odczytał uważnie następujące słowa: *trzy kwadrans na dwunastą dowiesz się, co może być.*

— Jeżeli przypuścimy, że to wezwanie na schadzkę, — mówił dalej inspektor, — to wyniknie, że Wiliam Kirwan, chociaż cieszący się opinią uczciwego człowieka, był w spółce ze złodziejem. Być może, że zeszli się w umówionem miejscu, razem wyłamali drzwi, a potem o coś się poróżnili.

— Bardzo ciekawy jest ten strzępek, — zauważył Holms, badając go z największą uwagą. — Rzecz bardziej powikłana, niżli przypuszczałem.

Pochylił głowę na dłonie, a inspektor patrzył na niego z uśmiechem, rad, że wypadek ten podziałał na znakomitość londyńską tak zastanawiająco.

— Ostatnie pańskie przypuszczenie, rzekł Holms po dłuższem milczeniu, — co do współnictwa stangreta ze złodziejem, bardzo prawdopodobne, chociaż z drugiej strony to pismo... I znowu się zadumał.

Gdy uniósł głowę po chwili, spostrzegłem zdziwiony, że oczy jego rozbliły, policzki zarumieniły się, jak to bywało nieraz przed chorobą. Porwał się na nogi z całą dawną energią.

— Oto, co powiem panom! — wykrzyknął raźnie. — Pragnąłbym zbadać niektóre szczegóły tej sprawy; zaciekawia mnie ona szczególnie. Jeżeli pan pozwoli, panie pułkowniku, opuszczę pana i Watsona na jakie pół godzinki i udam się z panem inspektorem, by sprawdzić niektóre przypuszczenia, które się w mej głowie zrodziły.

Minęło półtorej godziny, wreszcie powrócił inspektor sam.

— Mister Holms na łące; spaceruje tam i napowrót, — rzekł. — Życzy sobie, byśmy wszyscy czterej udali się razem z nim.

— Do mister Kuningama?

— Tak jest, sir.

— Po co?

Inspektor wzruszył ramionami.

— Nie wiem, sir. Mówiąc między nami, mnie się zdaje, że mister Holms nie bardzo jeszcze okrzeplł po tej chorobie. Zachowuje się tak dziwnie, przytem cały jest jak naelektryzowany.

— Napróżno się pan niepokoi, — rzekłem inspektorowi. — Mister Holms doskonale wie, co robi, mogę pana zapewnić.

— Prosił, byście panowie pospieszyli, — przerwał inspektor głosem zlekka obrażonym.

Gdybyśmy wyszli z domu, zobaczyliśmy Holmsa, chodzącego tam i napowrót, z głową opuszczoną, z rękoma w kieszeniach.

— Rzecz staje się bardzo ciekawą, — rzekł do nas. To tobie zawdzięczam, Watson, że przybył tu w porę. Cudownie spędziłem ten ranek.

— Byłeś pan na miejscu zbrodni? — zapytał pułkownik.

— Tak jest. Zarządziliśmy z panem inspektorem małe śledztwo.

— Cóż? pomyślnie?

— Jakby to panu powiedzieć? Widzieliśmy wiele ciekawych rzeczy. Opowiem panom w drodze. Nasamprzód obejrzelśmy ciało zabitego. Ani cienia wątpliwości, że zmarł od wystrzału prosto w piersi.

— Czyż to nastroczało wątpliwości?

— Ho, ho! W naszym fachu trzeba wątpić o wszystkim. Następnie widzieliśmy mister Kuningama i jego syna. Pokazali nam to miejsce, w którym zabójca przeskakiwał przez płot. Przecie to także bardzo interesujące.

— Bez wątpienia.

— Potem udaliśmy się do matki biednego stangreta. Nic nie mogliśmy od niej wydobyć, taka stara i chora.

— Jakież rezultat pańskich poszukiwań?

— Przyszliśmy do przekonania, że sprawa jest bardzo złożona. Być może, że terażniejsza wizyta pomoże nam nieco do jej rozwikłania. Czyż nie prawda, panie inspektorze, że strzępek papieru, znaleziony w ręce zabitego z oznacze-

niem godziny jego śmierci, jest dokumentem niezmiernej wagi?

— Winien on być kluczem, mister Holms, który rozwiąże zagadkę.

— Tak. Nie wątpię o tem. Ten, co pisał tę kartkę, ściągnął Wiliama Kirwana na miejsce jego zguby. Ale gdzie jest reszta tego pisma?

— Obszukałem całą okolicę krok za krokiem, spodziewając się, że ją znajdę, — rzekł inspektor.

— Wyrwaną została z dłoni zabitego. Lecz na co była potrzebną? Służyła bowiem, pozostawiona w jego ręku, jako dowód przeciw zabójcy. Co z nią uczynił zabójca? Włożył ją do kieszeni, nie spostrzegłszy, że rozek został w ręku zabitego. Gdyby udało nam się odnaleźć całość od tego strzępka, postąpilibyśmy znacznie w naszych poszukiwaniach.

— Ale jakże możemy sięgnąć pierwiej do kieszeni zabójcy, zanim go samego złapiemy?

— Tak. Nad tem warto się zastanowić. Poza tem — rzecz oczywista: kartka była przesłaną Wiliamowi. Ten, co ją pisał, nie doręczał by własnoręcznie, lecz ustnie by to powiedział. Któż tedy doręczył to pismo? Lub może przyszło pocztą?

— Dowiadywałem się już, — rzekł inspektor. Wiliam otrzymał wczoraj list pocztą. Sam rozpieczętował.

— Wybornie! — wykrzyknął Holms, uderzając inspektora po ramieniu. Prawdziwa przyjemność — pracować razem z panem! Ale otóż i parkan. Jeżeli pan życzy sobie, panie pułkowniku, pokażę panu miejsce wypadku.

Przeszliśmy koło pięknego domku, w którym mieszkał nieboszczyk i aleją dębową skierowaliśmy się do okazałego pięknego dworu, z czasów królowej Anny. Holms i inspektor powiedli nas ku drzwiom bocznym, które od gościńca oddzielał kołowy niewysoki płot. U drzwi kuchennych stał policyant.

— Otwórz no drzwi, mój kochany, rzekł Holms. Tu oto na tych schodach stał młody Kuningam, gdy zobaczył dwoje ludzi, walczących ze sobą na tem miejscu, gdzie my teraz stoimy. Stary Kuningam znajdował się przy tem oknie — drugie na lewo — i widział, jak zabójca zniknął nalewo od tego krzaka. To samo widział syn. Co do tego, zgadzają się w świadectwie. Następnie mister Alek zbiegł na dół i przyklęknął nad ugodzonym, pragnąc mu nieść pomoc. Ziemia w tem miejscu bardzo twarda i śladów nie zostało.

Gdy to mówił, z za węgła domu wyszło dwoje ludzi i zbliżało się ku nam. Jeden z nich — człek w latach, z twarzą wyrażającą energię i stanowczość, drugi — piękny młodzieniec z uśmiechem na ustach, w jasnym ubraniu, wesoły, nie-

frasobliwy, stanowiący dziwne przeciwieństwo z całą tą sprawą ohydną, która nas tu ściągnęła.

— Panowie wciąż jeszcze swoje? — zwrócił się wesoło do Holmsa, — sądziłem, że panowie z Londynu szybko takie sprawy spychacie. Widocznie się omyliłem.

— Dajże nam pan trochę czasu! — rzekł Holms, także się uśmiechając.

— Ba! sądzę, że wiele go jeszcze będzie potrzeba! — rzekł młody Kuningam, — przecież dotychczas nie mamy żadnych dowodów potępiających, — ani nawet śladów zabójcy.

— A! przepraszam pana! mamy jeden, niezmiernie ważny, — zaprzeczył inspektor, — pozostaje nam jedynie... Mister Holms! Co panu? Na Boga!

Twarz mego przyjaciela zmieniła się naraz nie do poznania. Oczy stanęły mu w ślup, twarz drgała konwulsyjnie, wreszcie upadł z jękiem na ziemię, całkiem bez czucia.

Zatrwożeni tym raptownym atakiem, zanieśliśmy go do kuchni i złożyliśmy na stołku szerokim; po chwili przyszedł do siebie i rzekł stropiony:

— Watson mówił to panom zapewne, że nie dawno przechodził ciężką chorobę. Wogóle jestem skłonny do ataków nerwowych.

— Jeżeli pan życzy sobie, odwiozę pana swym powozem do domu? — ofiarował się stary Kuningam.

— O, nie! dziękuje panu; gdy już tu jestem, chciałbym sprawdzić jedną rzecz, tembardziej, że to nie trudne do spełnienia.

— Cóż to takiego?

— Uważa pan, zdaje mi się to bardzo możebnem, że ów nieszczęsny Wiliam zjawił się już po tem, jak ów zbrodzień tu gościł. Wszak pan jest przekonany, że chociaż drzwi były wyłamane, złodziej nie wchodził do mieszkania?

— Mnie się zdaje, że to nie ulega wątpliwości, — rzekł mister Kuningam. — Przecież syn mój Alek jeszcze nie spał i słyszał by chyba.

— A gdzie był pański syn?

— Byłem w swoim pokoju.

— Które to okno?

— Ostatnie na lewo — tuż obok pokoju ojca.

— Prawdopodobnie światło się paliło u obydwóch panów?

— Naturalnie.

— Otóż dziwi mnie to niezmiernie, — rzekł Holms uśmiechając się, — że złodziej, w dodatku złodziej tak doświadczony, ważył się wyłamywać zamek, widząc, że jeszcze światła nie zgaszone.

— Musiał to być złodziej bardzo czelny — jak się okazuje.

— Ostatecznie, gdyby rzecz ta nie była tak zawiła, nigdybyśmy nie zwracali się do pana, mister Holms, — rzekł młody Kuningam. — Co się tycze jednakże pańskiego przypuszczenia, że złodziej był w mieszkaniu, zanim przyszedł William, uważam to zgoła za nieprawdopodobne. Pozostawiłby przecie jakiś ślad po sobie i napewno nie doliczylibyśmy się wszystkich rzeczy.

— To zależy, jakie były te rzeczy, — rzekł Holms. — Nie powinien pan zapominać, że mamy do czynienia nie z pospolitym złodziejem. Wszak pamięta pan, jakie dziwne rzeczy skradziono u Aktona; jeśli się nie mylę, był to kłębek szpagatu, waga do listów i tym podobne rupiecie.

— Bądź co bądź, jesteśmy na pańskie usługi, mister Holms, — rzekł stary Kuningam. — Wszystko, co pan lub pan inspektor rozkażecie, będzie niebawem wykonane.

— Przedewszystkiem, — rzekł Holms, — radził bym panom wyznaczyć nagrodę za schwytanie złodzieja. To rzecz przyspieszy. Nakreśliłem tu wzór ogłoszenia; może pan je podpisać. Sądzę, że 50 funtów — dostateczna nagroda.

— Z przyjemnością dam 500, — rzekł sędzia pokoju, biorąc z rąk Holmsa papier i ołówek. — Ale pan się tu omyliłeś, — rzekł, przebiegając pismo oczyma.

— Tak? Być może... Spieszyłem się.

— Pisziesz pan: „Wobec napadu, jakiego dokonano we wtorek, o pierwszej po północy i t. d.“, podczas gdy wypadek nastąpił o trzy kwadranse na dwunastą.

Przykro mi się zrobiło za Holmsa, że się tak omylił. Wiedziałem, jak dotknie to jego ambicyę. Szczycił się zawsze dotychczas niezrównaną ścisłością i skrupulatnością, widocznie atoli choroba targnęła jego władze i nie wydobrzał jeszcze zupełnie. Zasepił się tedy, jak winowajca, inspektor spojrział oczyma zadziwionemi, a młody Kuningam parsknął śmiechem.

Sędzia poprawił błąd i oddał notatkę Holmsowi.

— Proszę, niech pan każe ogłosić jaknajprędzej, — rzekł. — Znajduję, że to pomysł wyśmienity.

Holms złożył kartkę starannie i schował ją do swego portfelu.

— A teraz, — rzekł, — pójdziemy wszyscy razem obejrzeć mieszkanie, by się przekonać, czy złodziej rzeczywiście nic nie zabrał...

Zanim weszli do domu, Holms bacznie obejrzał drzwi wyłamane. Ślady na drzewie wskazywały, że do wyłamania zamku użyte było dłuto czy też mocny tępy nóż.

— Pan nie stosuje łańcuchów do drzwi? — zapytał Holms.

— Dotychczas nie uważałem za potrzebne.

— A czy pies jest koło domu?

— Jest, lecz jego budka znajduje się z drugiej strony domu.

— O której służba pańska kładzie się spać?

— Koło dziesiątej.

— Wiliam prawdopodobnie też kładł się o tej porze.

— Tak jest.

— Dziwna rzecz, że tej nocy jeszcze się nie położył. A więc — prosimy pana, mister Kuningam, byś raczył nam pokazać mieszkanie.

Korytarz z kamienną posadzką prowadził do wschodów drewnianych, które wiodły na pierwsze piętro; ztąd też poczynały się drugie wschody, bardziej okazałe, które wiodły do wielkiego salonu. Obok znajdowała się bawialnia i parę pokoiów sypialnych, a między nimi pokój mister Kuningama i jego syna. Holms postępował powoli, oglądał uważnie każdy szczegół budowy. Widziałem z jego twarzy, że idzie po tropie niezawodnym, nie mogłem atoli rozwiązać, co było w jego myślach.

— Ależ, panie łaskawy, — zauważył wreszcie mister Kuningam, — to trud zbyteczny z pańskiej strony. W tamtym rogu jest mój pokój, a tam pokój mego syna. Czyż pan przy-

puszcza, że złodziej aż tu się zakradł i żeśmy go nie spostrzegli?

— Mnie się zdaje, że pan będziesz musiał zacząć wszystko na nowo, — rzekł młody Kuningam złośliwie.

— Ależ, proszę pana, niech pan chwilę będzie cierpliwy! Chciałbym jeszcze zobaczyć, jak daleko widać z okien sypialni panów. To — pokój, zdaje się, pańskiego syna, — rzekł, otwierając drzwi, — a to jego ubieralnia, w której palił cygaro, gdy wszczął się popłoch. To okno dokąd wychodzi?

Wszedł do sypialni, otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju i zajrzał tam.

— Cóż? zaspokojony pan? — rzekł mister Kuningam zjadliwie.

— Dziękuję panu! Widziałem wszystko, co mi było potrzeba.

— Teraz, jeżeli pan sobie życzy, możemy obejrzeć jeszcze mój pokój.

— A! owszem! jeżeli pan pozwoli.

Sędzia wzruszył ramionami i poprowadził nas do swego pokoju, bardzo skromnie umeblowanego. Gdy reszta skierowała się ku oknu, Holms wraz ze mną pozostał nieco w tyle. U nóg łóżka stał mały stolik, a na nim karafka z wodą i pomarańcze na talerzu. Gdyśmy przechodzili koło stolika, Holms, ku wielkiemu memu zdziwieniu, natknął się na stolik i przewrócił go.

Karafka rozprysła się na kawałki, a pomarańcze potoczyły się po pokoju.

— Ale też z ciebie uważny człowiek, mój Watsonie, — rzekł na to z flegmą, — patrz, jakieś przystroił dywan!

Zmięszalem się i pochyliwszy się, począłem zbierać pomarańcze; zrozumiałem to, że Holms, dla niewiadomych mi powodów, pragnął zwalić na mnie to zdarzenie. Inni też poszli za moim przykładem, doprowadzając wszystko do porządku.

— Ale gdzież to on się podział? — zawołał inspektor.

Holms zniknął.

— Przepraszam panów na chwilę, — rzekł młody Kuningam, — ale zdaje mi się, że głowa pana Holmsa nie bardzo jest w porządku. Chodźmy, ojczy, zobaczyć, co się z nim dzieje! Wyszli szybko z pokoju, pozostawiając mnie, półkownika i inspektora, nie na żarty zdumionych tą przygodą.

— Wiecie panowie, przykro mi, — począł inspektor, — ale, zdaje mi się, muszę podzielić zdanie mister Aleka. Może to skutki choroby, lecz to widoczne, że...

Słowa te przerwało wołanie: „Na pomoc! na pomoc!“ Poznałem głos mego druha i wybiegłem z pokoju do sionki. Krzyk stawał się zduszonym, chrapliwym i pochodził z pokoju Aleka. Wbiegłem do sypialni, ztąd do ubieralni.

Obaj Kuninganowie pochyleni byli nad Holmsem; młody dusił go za gardło, stary wykręcał mu ręce. Jednej chwili rzuciliśmy się na nich i oderwaliśmy od powalonego. Holms skoczył na nogi blady i wielce wzburzony.

— Panie inspektorze! proszę aresztować tych ludzi! — zawołał, z trudem chwytając oddech.

— Za co?

— Za zabójstwo stangreta Wiliama Kirwana.

Inspektor spojrział na niego zdziwiony.

— Co panu jest, panie Holms? — rzekł po krótkiej chwili, — pan się myli widocznie.

— Spójrzj pan na ich twarze! — zawołał Holms.

Nigdy nie widziałem, żeby na twarzy człowieka jaśniej się malowało świadectwo zbrodni. Stary Kuningam stał, jak gromem rażony, obezprzytomniały. Młody nic nie miał teraz wspólnego z wesołością, która go stale cechowała: patrzył, jak dziki zwierz, z przestraczem w oczach, który zohydził i wykrzywił piękne jego rysy.

Inspektor podszedł ku dwióm w milczeniu i dał sygnał świstawką.

Do pokoju weszło dwóch policyantów.

— Nie mogę postąpić inaczej, mister Kuningam, — rzekł inspektor, — mam jednak nadzieję, że wszystko to się wyjaśni. Sam pan to widzi... A to co takiego? Rzuć pan to zaraz!

Z temi słowy podbił mu rękę i rewolwer, wymierzony w niego przez młodego Kuningama, upadł z hałasem na ziemię.

— Proszę to zachować, przyda się przy śledztwie, — rzekł Holms, następując na rewolwer. — A oto jest to, czegośmy szukali. To mówiąc, wyciągnął dłoń z kawałkiem zmiętego papieru.

— Reszta tamtego pisma! — wykrzyknął inspektor.

— Najzupełniejsza!

— Gdzie była?

— Tam, gdzie przypuszczałem. Opowiem to panom po kolei. Przedewszystkiem atoli wypada, by Watson i pułkownik powrócili do siebie. Za godzinę i my podążymy z panem inspektorem, pierwej jednakże musimy wybadać aresztowanych. Sądzę, że zdążymy powrócić na śniadanie.

Mister Holms dotrzymał słowa, jak zwykle, i około pierwszej zjawił się w pokoju, gdyśmy siedzieli razem z pułkownikiem. Towarzyszył mu jegomość średniego wzrostu, dosyć już wiekowy, którego przedstawił mi, jako mister Aktona, u którego odbyła się niedawno owa dziwna kradzież.

— Pragnąłem, żeby i mister Akton był obecny przy mojem tłumaczeniu, jakie tu uczynię, nic bowiem chyba dziwnego, że przebiegiem tej sprawy mocno się interesuje. Oba-

wiam się, czy nie pożałujesz pan, panie pułkowniku, żeś zaprosił do siebie stworzenie z naturą tak niespokojną, jak moja.

— Przeciwnie, — odrzekł pułkownik przyjaźnie, — mam to sobie za zaszczyt, żeś zdołał osobiście przyjrzeć się temu niezwykłemu darowi pańskiemu rozplątywania spraw zawitych. Przeszedłeś pan wszystkie moje oczekiwania.

— Obawiam się tedy raz jeszcze, czy temi wytłomaczeniami nie utracę tego dobrego mniemania, jakie w oczach jego zdobyłem; położyłem sobie jednak za zasadę nie ukrywać nigdy ani przed Watsonem, ani przed kim bądź innym, jak prostemi nieraz drogami dochodzę do rezultatów oszałamiających. Pierwej atoli, zanim zacząć opowiadać, pragnąłbym pokrzepić siły kieliszkiem wybornej pańskiej starki, pułkowniku! W ostatnich czasach spracowałem się rzetelnie.

— Przypuszczam, że atak pański już się nie powtórzy.

Holms zaśmiał się serdecznie.

— O tem — po tem, a teraz opowiem panom wszystko po kolei. Proszę, przerywajcie mi, ilekroć się nastroczą jakie wątpliwości.

— W naszym fachu ajenta policyjnego niezmiernie ważną jest rzeczą umieć odróżniać fakty prawdziwe od mnóstwa rzeszy pobocznych i błahych. Kto tego nie przestrzega, traci całą energię i uwagę na drobiazgi, miast ją skupić na samej istocie rzeczy. W wypadku niniejszym

nie wątpię od samego początku, że kluczem, rozwiązującym całą rzecz, jest strzępek papieru, znaleziony w ręku zabitego.

— Zanim przejdę do szczegółów, zwrócę uwagę panów na tę okoliczność, że gdyby oświadczenie Aleka Kuningama było słusznem i gdyby zabójca, strzeliwszy do Wiliama Kirwana, zbiegł *natychmiastowo*, wtedy, rzecz prosta, nie wyrwał by papieru z rąk zabitego. Jeżeli zaś tego nie zrobił zabójca, to zrobił to sam Alek, bowiem, gdy z góry zszedł stary Kuningam, na dole było już kilkoro sług. Fakt ten, sam przez się niezmiernie prosty, inspektor atoli nie zwrócił na niego uwagi, *w zasadzie bowiem odrzucił* wszelką myśl, by dziedzice mogli być do sprawy wplątani. Ja uważam za swój obowiązek odrzucać wszelkie przesady i uprzednie sądy i zdążać jedynie ślepo za tem, co następują mi fakty. I oto odrazu począłem badać, jaką rolę w tej sprawie grał mister Alek Kuningam.

— Najsumienniej przestudyowałem strzępek papieru, dostarczony mi przez inspektora; byłem mocno przekonany, że stanowi on część dokumentu niezmiernie ważnego. Oto jest tu ten kawałek. Czy nie dostrzegacie w nim panowie nic osobliwego?

— Owszem, jest w nim coś niezwykajnego, — rzekł pułkownik, badając skrzępek.

— Kochany panie, — rzekł Holmes, — tu niema wątpliwości, że kartkę tę pisały dwie oso-

by, na zmianę. Jeżeli się pan dobrze przyjrzy, spostrzeże pan odrazu, że wyrazy „bez“ i „dwunasta“ napisane innym charakterem, „kwadransa“ i „dowiesz się“ — również innym. Dosyć spojrzeć, by orzec, że pierwsze dwa wyrazy pisała ręka pewniejsza, drugie dwa — ręka mniej pewna i wahająca się.

— Bezwarunkowo! to widoczne! — dziwił się pułkownik. — Po cóż jednak było dwojgu pisać jedną kartkę?

— Rzecz prosta! Widocznie sprawa była nie czysta i jeden nie ufał drugiemu; postanowili tedy napisać ją wspólnie, by razem odpowiadać, gdyby się wykryła, lub gdyby jeden z nich chciał zdradzić drugiego. Ten, co pisał „bez“ i „dwunasta“ był inicjatorem i kierownikiem sprawy.

— Zkąd pan to wnioskuje?

— Porównując obydwaj charaktery pisma, chociaż można to twierdzić również na mocy innych poszlak. Wpatrzywszy się uważnie, dostrzeże pan, że ten, co pisał ręką pewniejszą, pisał pierwszy i układał właściwie tekst, drugi — wypełniał już potem miejsca pozostawione. Przestrzenie, pozostawione między wyrazami, nie wszędzie dostateczne do napisania dłuższego wyrazu, widocznie w pośpiechu źle wymiarkowane, tak że ów drugi piszący zmuszony był wyraz „kwadransa“ ścisnąć, by go pomieścić między „bez“ i „dwunasta“. To wskazuje, że te ostatnie

były pierwiej napisane. I oczywista, że kierował ten, co pisał pierwszy i układał tekst.

— Wspaniale! — okrzyknął mister Akton.

— To jednak mniej ważne; przejdziemy do rzeczy istotniejszych. Wiadomo panom zapewne, że ostatniemi czasy sztuka poznawania lat piszącego z charakteru jego pisma znacznie się posunęła. Mam na myśli jedynie stany normalne, choroba bowiem i niedomagania fizyczne tak mogą wpłynąć na charakter pisma, że młodzieńca łatwo wziąć za starca.

W obecnym tu wypadku, obserwując jedno pismo, pewne i stanowcze, i drugie, mniej pewne i wahające, można śmiało utrzymywać, że posiadacz pierwszego — w latach, choć jeszcze nie starzec zupełny.

— Wspaniale! — zachwycił się mister Akton.

— Poza tem istnieją jeszcze pewne rysy, mniej ważne, choć nie mniej ciekawe. Oto, na przykład, obydwa te charaktery pisma mają cechy jakiegoś pokrewieństwa i spólności duchowej; można tedy przypuszczać, że należą do osób, pozostających w węzłach pokrewieństwa. Temi oto drogami przyszedłem do wniosku, że strzępek ten pisali obadwaj Kuningamowie.

— Potem zająłem się, rzecz prosta, innemi szczegółami tego ciekawego dramatu. Razem z inspektorem udałem się na miejsce wypadku i obejrzałem wszystko, co mi było potrzeba. Rana zabitego świadczyła wyraźnie, że strzał

padł z odległości czterech do pięciu jardów. Mogę to twierdzić stanowczo, bowiem na ubra-
niu zabitego nie znalazłem śladów prochu. I dla
tego Alek Kuningam kłamał, dowodząc, że wystrzał
nastąpił wtedy, gdy dwaj ci ludzie walczyli ze
sobą. Następnie, i ojciec, i syn, obadwaj zga-
dzali się w zeznaniach co do tego miejsca, w któ-
rem zabójca miał przeleźć przez parkan; ponie-
waż jednak ziemia w tem miejscu wilgotna,
a śladów żadnych na niej nie znalazłem, prze-
konałem się tedy powtórnie, że Kuningamowie
kłamią — i że nikt obcy w tę noc tu nie gościł.

— Pozostawało mi jedynie wyjaśnić sobie
pobudki, które pchnęły Kuningamów do tak
ohydnej zbrodni. By dociec tego, należało pier-
wej rozwiązać szaradę, dotyczącą tej dziwnej
kradzieży u mister Aktona. Ze słów pułkownika
dowiedziałem się, że pomiędzy panem, mister
Aktonie, i Kuningamami toczył się spór o po-
siadłości. I oto zrodziła się myśl w mej głowie,
czy nie zakradli się ci panowie do pańskiej
biblioteki w celu porwania jakiego dokumentu,
który mógł by sprawę na ich stronę przechylić.

— Najzupełniej słusznie, — zauważył mister
Akton, — nie wątpię o tem obecnie. Mam pra-
wo niezbite do połowy ich majątku i gdyby
mogli zdobyć jeden dokument, który na szczęście
spoczywa w kasie ogniotrwałej u mego adwo-
kata, wygrali by proces niezawodnie.

— A co? — rzekł Holms zadowolony.

— Był to krok, rzecz prosta, bardzo ryzykowny i jestem pewien, że projektodawcą co do niego był młody Kuningam. Nie znalazłszy dokumentu, pragnęli odwrócić wszelkie podejrzenie, nadając temu charakter zwykłej kradzieży i dla tego porwali to, co mieli pod ręką. To wszystko dotąd bardzo zrozumiałe, są atoli w tem ogniwa, dotychczas bardzo tajemnicze. Przedewszystkiem dążyłem do tego, by odnaleźć brakującą część listu. Byłem pewien, że to Alek wyrwał ją z rąk zabitego, i przypuszczałem, że włożył do kieszeni swego ubrania. Gdzież bo ją mógł by włożyć? Pozostawało pytanie: czy nie wyjął jej już ztamtąd? Co do tego, należało się nieco potrudzić — i oto dla czego udaliśmy się do nich do domu.

— Kuningamowie, jeśli panowie pamiętacie, zbliżyli się do nas, gdyśmy byli u drzwi kuchennych. Ogromnie ważną było dla mnie rzeczą, żeby nie było mowy o kartce i żeby jej nie zniszczyli. Inspektor już miał o niej zaga- dać i zwiastować, jak ważnym jest dla nas do- wodem, gdy oto, na szczęście, nastąpił ten mój atak — i rozmowa przeszła na inny temat.

— Ach, tak! — zawołał śmiejąc się pułkownik, — wszystkie tedy nasze współczucia i ubolewania były niepotrzebne, — pan-eś tylko udawał!

— Jako lekarz, muszę oświadczyć, żeś

udawał znakomicie, — powiedziałem od siebie, patrząc z podziwem na tego człowieka, który coraz nowemi stronami swego talentu budził we mnie zachwyt nieklamany.

— Tego rodzaju sztuka czasami bywa bardzo przydatną, — mówił Holms dalej. — Gdym odzyskał przytomność, udało mi się za pomocą drobnej sztuczki — nie powiem, żeby bardzo dowcipnej — zmusić starego Kuningama do napisania wyrazu „dwunasta“, by mózż porównać to pismo z pismem na strzępku.

— Bądź tu mądrym wobec tego! — zawołałem.

— Widziałem, jak ci było przykro za mnie i jak zważyłeś moje przeoczenie na karb mojej choroby, — zauważył Holms, śmiejąc się. — Żałowałem bardzo, żem cię musiał zmartwić na próżno... Potem poszliśmy wszyscy na górę. W pokoju Aleka zobaczyłem szlafrok za drzwiami. Przewróciłem stół, odwróciłem ich uwagę i wymknąłem się, by zbadać kieszenie szlafroka. Zaledwem wyjął papier, który, jak się tego spodziewałem, był w jednej z nich, gdy obaj Kuninganowie rzucili się na mnie i zginął bym niechybnie, gdyby nie rychła wasza pomoc przyjacielska. Do tej pory czuję jeszcze na szyi ślady palców młodego Kuningama, i ręka ta mnie boli od konwulsyjnych szamotań starego, który chciał mi wyrwać ten papier. Obaczyli, że wiem o wszystkim, i przejście raptowne od zupełnej

pewności siebie do zupełnej rozpacz przyprawiło ich wprost o szaleństwo.

— Mówiłem przed chwilą ze starym Kuningamem co do pobudek tej zbrodni zagadkowej. Ze starym rozmowa jest możebna, lecz młody pieni się, jak zwierz, i gdyby miał broń pod ręką, rozwalił by łeb sobie i innym. Gdy stary się przekonał, że sprawa stracona, spuścił z tonu i opowiedział wszystko, jak było. Okazuje się, że Wiliam podpatrzył niepostrzeżony swych panów, gdy w ową noc zrobili wyprawę do biblioteki mister Aktona i że zapragnął skorzystać z tej tajemnicy, by jaknajwięcej wyciągnąć z kieszeni Kuningamów. Atoli z panem Alekiem żarty niebezpieczne. Ułożył sobie nader dowcipny plan skorzystania z popłochu, jaki wywołała kradzież u mister Aktona, by się uwolnić od człowieka, który mógł być niebezpiecznym. Zwabili go tedy do pułapki i zabili; gdyby przytem byli wydostali całą kartkę z rąk zabitego i zatarli kilka drobnych szczegółów, nigdy by podejrzenie nie padło na ich szanowność.

— A gdzież cała kartka? — zapytałem. Holms doręczył nam całe pismo, złożone z dwóch kawałków:

„Jeżeli przyjdiesz trzy kwadransy na dwunastą do drzwi alkierza, dowiesz się o czemś, co cię bardzo zadziwi i co może być wielce pożytecznem dla ciebie, jak

również dla Anny Morissen. Nie mów nic o tem nikomu“.

If you will only come and ^{at quarter to twelve}
to the next game you will learn what
will very much surprise you and ^{maybe}
be of the greatest service to you and also
to Anne Morrison. But say nothing to anyone
upon the matter

— Właśnie oczekiwałem czegoś w tym rodzaju, — rzekł Holms. — Prawdę rzekłszy, nie wiemy jeszcze dotychczas, jaki stosunek zachodził pomiędzy Alekiem Kuningamen, Wiliamem, Kirwanem i Anną Morissen, skutki atoli wskazują, że pułapka była dobrze zarządzona.

— A teraz, kochany Watsonie, sędzę, żeś my już dosyć zażyli wywczasu na łonie przyrody; powrócę tedy do siebie, na ulicę Beker, z wznowionemi siłami.

URZĘDNIK PICKROFT.

URSEDIUM BICKROFF

Urzędnik Pickroft.

Wkrótce po ożenieniu się zamieszkałem w Paddingtawnie, objąwszy praktykę po starym doktorze, mister Farkuherze; praktyka niegdyś obfita, ostatniemi jednak czasy, z racyi zniedo-
łęźnienia Farkuhera, jakoteż z powodu tego, że cierpiał na epilepsyę, tak podupadła, że zaledwie od czasu do czasu pacjent się nadarzył. Publiczność obstaje przy tem, że kto leczy drugich, winien sam być zdrów przedewszystkiem, — względem więc lekarzy, którzy nie zdołali siebie uzdrowić, zachowuje się z krytyczną nieufnością. Tak więc praktyka mego poprzednika w tym czasie, gdym ją przejął, przynosiła nie więcej nad trzysta funtów rocznie, podczas gdy przedtem dochodziła do tysiąca pięciuset. Ufałem atoli mej młodości i energii, będąc przekonany, że po kilku latach dociągnę do tej liczby, jeżeli jej nie przewyższę.

W ciągu trzech pierwszych miesięcy od czasu nowej siedziby byłem wciąż bardzo zajęty i prawie-m nie widywał mego druha, Holmsa. Trudno mi było się wybrać na ulicę Bekerstret, on też rzadko kiedy odwiedzał kogo, jeżeli nie zniewalał go interes.

Byłem przeto zdziwiony razu pewnego, gdym w ranek czerwcowy po śniadaniu, czytając „British Medical Journal“, usłyszał dzwonek, a w ślad za nim przenikliwy głos dyszkantowy mego przyjaciela.

— Kochany Watsonie, — rzekł, wchodząc do pokoju, — jakże się cieszę, że cię widzę! Pani Watson, mam nadzieję, zdrowa?

— Dziękuję ci; obojeśmy zdrowi, — rzekłem, z prawdziwą radością wyciągając dłoń.

— Mam nadzieję także, że praktyka lekarska nie zdołała jeszcze zagłuszyć w tobie zamiłowania do naszych wypraw na gruncie prawniczym.

— Przeciwnie, — odrzekłem, — nie dawniej, jak wczoraj, porządkowałem moje notatki z tej dziedziny.

— Pochlebiam sobie, że nie uważasz tych notat za skończone i zamknięte?

— Naturalnie, że nie. Niczego sobie bardziej nie życzę, jak tego, bym je mógł jaknajrychlej pomnożyć.

— Choćby dziś?

— Choćby dziś, jeżeli zechcesz.

— Nawet, gdyby wypadło jechać do Birminghamu?

— Ależ rozumie się! Najchętniej.

— A praktyka?

— Zastępuję zawsze mego sąsiada, gdy wyjeżdża. Mam nadzieję, że obecnie on mnie zastąpi z przyjemnością.

— Wybornie tedy! — rzekł Holms, odrzucając się na krzesło i spoglądając na mnie oczyma zmrużonemi.

— Widzę, żeś niedawno chorował. Cóż to, lekkie przeziębienie?

— Tak jest. Trzy dni nie wychodziłem z domu, z racyi silnego kataru. Nie przypuszczam jednak, by pozostał po nim jaki ślad.

— Bo też nie pozostał. Wyglądasz znakomicie.

— Zkąd więc zauważyłeś, żeś był nie zdrów?

— Toć znasz przecie, mój drogi, moją tajemnicę odgadywania cudzych spraw, chociażby nawet tajnych.

— Przyszędłeś tedy do wniosku drogą rozumowania?

— Naturalnie.

— Lecz co posłużyło, jako założenie do tego wyniku myśli.

— Twoje pantofle.

Spojrzałem na nowe skórzane pantofle, które miałem na nogach. — Jakże to? — począłem, lecz Holms mi przerwał.

— Pantofle twoje są zupełnie nowe, — rzekł, nie mają więcej nad trzy tygodnie. Tymczasem podeszwy, które ztąd spostrzegam, są lekko opalone. Zrazu sądziłem, że były mokre i że suszono je przy ogniu, spostrzegam jednak ztąd naklejoną na środku markę fabryczną. Gdyby były wilgotne, marka by się odkleiła. Pozostaje tedy jedno przypuszczenie: siedziałeś w nich długo przy ogniu, co w miesiącu Czerwcu robi się tylko wtedy, gdy człowiek jest przeziębiony.

Jak wszystkie rozumowania Holmsa, tak i to odznaczało się szczytną prostotą. Odczytał tę myśl z mojej twarzy i uśmiechnął się filuternie.

— Obawiam się, że zanadto się obnażam, wyświetlając drogi, któremi dochodzę do moich konkluzyj logicznych, — rzekł, — same wyniki bez komentarzy czyniły by więcej wrażenia. Jakże więc? jesteś gotów jechać ze mną do Birminghamu?

— Najzupełniej. Ciekawa sprawa?

— Opowiem ci w wagonie. Mój klient czeka na nas w powozie na ulicy. Czy możesz jechać natychmiast?

— Mogę.

Napisałem kilka słów do kolegi lekarza, pobiegłem na górę zawiadomić żonę o wyjeździe i dogoniłem Holmsa już na wschodach.

— Twój sąsiad także doktor? — rzekł, wskazując na mosiężną tabliczkę na drzwiach.

— Tak. Rozpoczął praktykę razem ze mną.

— A przedtem mieszkał tu także lekarz?

— Tak. W tym domu od samego pobudowania mieszkało zawsze dwóch lekarzy.

— Ty jednak masz liczniejszą praktykę, niż on?

— Tak. Z czego wnosisz?

— Ze wschodów, — rzekł. — Stopnie przy twoich drzwiach trzy razy brudniejsze. Ale otóż i nasz towarzysz. Pozwoli pan, że go przedstawię: mister Holl Pickroft. A teraz — zacinaj konie, — rzekł, zwracając się do woźnicy, — ledwie że zdążymy na pociąg.

Nowy mój znajomy, siedzący naprzeciw mnie, był to młodzieniec zdrów i świeży, z twarzą jasną, szlachetną, z wąsikiem puszystym. Cylinder na jego głowie był starannie wyprasowany; ubranie czarne, przyzwoite, wskazywało, że ten, co je nosił, należał do skromnej klasy młodzieży, zamieszkującej City, z której większość — znakomici sportsmeni i atleci. Twarz ta była pełna radości życia — i tylko w kąciakach ust błąkała się jakaś trwoga przelotna. Gdyśmy już usadowili się we trzech w prze-

dziale pierwszej klasy, wtedy dowiedziałem się wreszcie, co go zmusiło do udania się o pomoc do Holmsa.

— Będziemy jechali godzinę i kwadrans, — rzekł Holms, — poproszę pana, mister Pickroft, byś zechciał opowiedzieć memu przyjacielowi ciekawą swoją przygodę — tak, jak-eś ją mi opowiedział, lub jeśli można, jeszcze szczegółowiej. Dla mnie też będzie pożyteczne usłyszeć to po raz wtóry. Proszę, opowiadaj pan, nie będę już przerywał.

Młody nasz towarzysz spojrział na mnie, uśmiechając się z pewnem zakłopotaniem.

— Chodzi o to, proszę pana, — rozpoczął, — że w całej tej sprawie gram bardzo głupią i niewyraźną rolę. Może się to, rzecz prosta, skończyć bardzo pomyślnie; sam też nie mogłem postąpić inaczej; w każdym jednak razie wyglądam w tem wszystkim, jak prostak, którego łatwo wyprowadzić w pole. Sam pan się o tem przekona, panie doktorze!

— Pracowałem w firmie Kockson i Udhaus, lecz firma ta zbankrutowała i zostałem wraz z siedmdziesięciu pracownikami bez miejsca. Ponieważ służyłem w tej firmie pięć lat, więc stary Kockson dał mi bardzo chlubne świadectwo, na nic mi się ono jednak nie przydało. Gdziekolwiek-bądź się zwracałem, wszystkie miejsca były zajęte. Przez pięć lat zaoszczędziłem sobie koło ośmdziesięciu funtów, brałem

bowiem trzy funty tygodniowo; pieniądze te atoli prędko się wyczerpały, tak że zaledwie mi wystarczało na robienie ogłoszeń lub na marki do listów, które musiałem w tym celu wysyłać. Zdarłem formalnie buty, biegając od jednego kantoru do drugiego.

— Otworzył się wreszcie wakans w wielkiej firmie handlowej „Mawson i Williams”. Nie wiem, czy zna pan tę firmę, znajduje się ona bowiem na krańcu miasta, chociaż jest jednym z najbogatszych domów handlowych w Londynie. Na ofertę wskutek ogłoszenia trzeba było odpowiedzieć piśmiennie. Posłałem na wszelki wypadek moje świadectwo, nie mając żadnej nadziei na powodzenie. W odpowiedzi otrzymałem wezwanie do objęcia posady od przyszłego poniedziałku. Trudno pojąć, jakim sposobem to się stało i jak wogóle załatwiają się takie sprawy. Mówią, że główny dyrektor zanurza rękę w stos listów i wyciąga pierwszy lepszy. Tak czy owak, szczęście uśmiechnęło mi się nie na żarty, i nie potrzebuję dodawać, jak byłem uszczęśliwiony. Pensya na początek funt szterlingów na tydzień, praca prawie taka sama, jak u Kocksona.

— Teraz poczyna się rzecz sama. Mieszkałem za miastem, w Hametedt, Potters Taras, № 17. Tegoż wieczora, którego otrzymałem wezwanie do objęcia posady, siedziałem w swoim skromnym pokoiku i paliłem fajkę.

Naraz ukazuje się we drzwiach moja gospodyni i doręcza mi bilet wizytowy z nazwiskiem „Arthur Pinner, agent handlowy”. Nie słyszałem nigdy tego nazwiska i nie mogłem pojąć, czego by chciał odemnie; mimo to jednak, powiedziałem gospodyni, że „proszę” tego pana. Wszedł: był to mężczyzna średniego wzrostu, brunet, z czarnymi oczyma i czarną brodą. Mówił tonem ludzi interesu, krótkimi i urywanymi zdaniem, jak człowiek, który czas swój ceni.

— Mister Holms Pickroft? — zapytał.

— Tak jest, sir, — odrzekłem, przysuwając mu krzesło.

— Służyłeś pan przedtem u firmy Kockson i Udhaus?

— Tak jest.

— A teraz obejmujesz pan posadę u Mawsona.

— Tak jest, sir.

— Słyszałem, — mówił dalej, — że pan posiada niezwykle zdolności finansowe. Zna pan, naturalnie, Paroge'a, b. zarządzającego u Kocksona? Nie mógł dosyć nachwalić pana.

— Bardzo mi przyjemnie to słyszeć. Starałem się spełniać uczciwie obowiązek, lecz nigdy nie sądziłem, bym zasłużył na takie pochwały.

— Czy ma pan dobrą pamięć? — zapytał.

— Tak jest, nie złą, — odrzekłem skromnie.

— Czy pozostając bez zajęcia, śledził pan usposobienie i ruch giełdy? — zapytał.

— Tak jest. Czytuję codziennie „Stock Exchange List”.

— To się nazywa prawdziwe zamięłowanie rzeczy! — zawołał. — Czy nie będzie mi pan miał za złe, że go trochę wyegzaminuję? Niech mi pan powie, jak stoją akcje Akszerskie?

— Od stu pięciu do stu pięciu i ćwierć, — odrzekłem.

— A nowo-Zelandzkie?

— Sto cztery.

— Brytańskie Broken Hill?

— Siedm i siedm i pół.

— Wspaniale! — zawołał zachwycony. — Odpowiada to w zupełności temu, com słyszał o panu. Mój młodzieńcze, zdaniem mojem, za wiele-ś pan wart na to, by być pracownikiem u Mawsona!

Zachwył ten zadziwił mnie nieco, jak to sobie pan łatwo wyobraża.

— Inni chyba nie są tak łaskawi i hojni w mniemaniu o mnie, mister Pinner, — odrzekłem. — Jestem formalnie bez pieniędzy i rad jestem, żem otrzymał to miejsce.

— A! rzuć pan je bez namysłu. To nie karjera dla pana! Powiem panu, co mogę ofiarować panu natomiast, jeżeli zechcesz pracować w naszym biurze. Nie będzie to wiele w stosunku do pańskiego uzdolnienia, no lecz bez

porównania więcej, niż panu ofiaruje Mawson. Kiedy pan masz zamiar objąć u niego posadę.

— W poniedziałek.

— Czy pan da wiarę, że ja jestem prawie pewien, że pan jej nie obejmie.

— Jakto: nie obejmę?

— W sposób prosty. Od dnia dzisiejszego zostaje pan mianowany, jako administrator Towarzystwa Śródziemno-Francusko-Hardwarskiego, które posiada sto trzydzieści cztery filie w miastach i miasteczkach Francyi, nie licząc filij w Brukseli i w San-Remo.

Na te słowa oddech mi zapało.

— Nigdy nie słyszałem o tem Towarzystwie, — rzekłem, siląc się na spokój.

— Bardzo być może. Kapitały tej firmy znajdują się w prywatnych rękach i sprawy jej są tak pomyślne, że nie potrzebują reklamy. Brat mój, Harry Pinner jest głównym dyrektorem i kuratorem tego towarzystwa. Wiedząc, że się wybieram w te strony, prosił mnie o wyszukanie młodego i zdolnego pracownika, który by potrafił rzecz samoistnie poprowadzić. Parker mi mówił o panu i oto się zgłosiłem. Z żalem wyznaję, iż więcej nad pięćset funtów nie możemy ofiarować panu.

— Pięćset funtów rocznie! — wykrzyknąłem.

— To na początek. Oprócz tego otrzyma pan jeden procent komisowego od wszystkich

komisów, jakie załatwią pańscy ajenci, a możesz mi pan ufać, że to wyniesie znacznie więcej, niż pensya.

— Ależ ja nie jestem zupełnie obznajmiony z tem zajęciem!

— Nic nie szkodzi. W krótkim czasie obznajmi się pan zupełnie.

W głowie mi się kręciło, ledwo-m mógł na krześle usiedzieć. Naraz ogarnęło mną zwątpienie.

— Muszę panu powiedzieć otwarcie, — rzekłem po chwili, — że chociaż Mawson daje mi tylko dwieście funtów na rok, lecz za to firma jego jest znana i pewna. A co się tycze Towarzystwa panów, to nic o niem nie wiem...

— Wybornie! — okrzyknął mój protektor w jakimś zachwycie ekstatycznym. — Właśnie taki nam człowiek potrzebny. Pana nie łatwo wywieść w pole. Oto jest bilet stufuntowy; jeżeli pan uważa siebie, jako naszego pracownika, jest to zaliczka z pańskiej pensyi.

— Zgadzam się, — rzekłem. — Kiedyż mam objąć obowiązki.

— Jutro będzie pan w Birminghamie. Dam panu zaraz kartkę, którą pan doręczy memu bratu. Uda się pan na Corporation-Street, № 126c, gdzie znajduje się chwilowó nasz kantor. Tam pan znajdzie mego brata. Rzecz prosta, skontraktuje on pańskie wstąpienie do służby, chociaż główne punkty już załatwione między nami.

— Prawdziwie, nie wiem, jak panu podziękować, mister Pinner! — rzekłem.

— Ale cóż znowu! Otrzymałeś pan tylko to, na co zasługujesz. Teraz pozostaje nam do załatwienia kilka drobnych czynności; rzecz prosta, że to zwyczajna formalność. Czy nie ma pan arkusika papieru? Niech pan na nim napiszę: „Zgadzam się na objęcie posady administratora Francusko-Śródziemno-Hardwardzkiego Towarzystwa z płacą 500 funtów rocznie“.

Napisałem, czego pragnął, rzucił okiem na kartkę i schował ją do kieszeni.

— Ach! jeszcze jedna drobna okoliczność! — rzekł. — Co pan myśli teraz zrobić z Mawsonem?

— Ze szczęścia zapomniałem całkiem o Mawsonie, — rzekłem. — Napiszę do niego i odmówię mu objęcia posady.

— Właśnie chodzi o to, żeby pan tego nie robił. Pokłóciłem się dzisiaj o pana z zarządzającym Mawsona. Udałem się do niego, żeby zaciągnąć referencyj o panu, i był dla mnie bardzo niegrzeczny, oskarżając mnie o to, że mu ludzi odciągam, czy coś podobnego. Nie wytrzymałem nareszcie i rzekłem: „Jeżeli pan chcesz mieć dobrych pracowników, to płac im pan lepiej, niż płacisz!“ „Ręcę panu, że chętniej się zgodzi na naszą małą płacę, niż na pańską wielką!“, rzekł podrażniony. — „Może pójdziemy o zakład“, rzekłem ze swej strony, —

„że otrzymawszy moje warunki, nie będzie nawet uważał za potrzebne zawiadomić pana o cofnięciu się”. Owszem! — rzekł, — zobaczymy! Wybawiłem go od śmierci głodowej, zobaczymy, czy tego nie oceni! Te były jego słowa ostatnie.

— A hultaj! — zawołałem. — Nigdy-m go na oczy nie widział. Oczywiście krępować się nim nie będę. Jeżeli pan sobie nie życzy, nie napiszę do niego ani słowa.

— Wybornie. Trzymam pana za słowo, — rzekł powstając z miejsca. — Jestem prawdziwie szczęśliwy, że znalazł dla swego brata człowieka pewnego. Oto jest pańska zaliczka stofuntowa, a tu list polecający. Proszę, zapisz pan adres: Corporation-Street, № 126c, i pamiętaj pan, że jutro o pierwszej masz już być na miejscu. Dobranoc panu! Życzę powodzenia!

— Oto wszystko, cośmy z tym z tym panem mówili, o ile mogę sobie przypomnieć. Może pan sobie teraz wystawić, panie doktorze, jak-em się ucieszył z tego szczęścia, które na mnie spłynęło. Cały wieczór przemarzyłem, rojąc widoki przyszłości, a nazajutrz ruszyłem do Birminghamu takim pociągiem, żeby przybyć jeszcze wcześniej, niż należało.

Odwiozłem rzeczy do Hotelu na New-Street i ztąd udałem się podług wiadomego adresu.

Przyszedłem o kwadrans wcześniej, niż należało, sądząc, że to nie uczyni różnicy. Dom

pod numerem 126c cały był zajęty przez różne kantory i biura handlowe. Na liście odczytałem je wszystkie, lecz Francuzko-Śródziemno-Hardwardskiego Towarzystwa wśród nich nie było. Stałem chwilę, smętnie dotknięty; najwidoczniej zażartowano ze mnie; miałem już odchodzić, gdy nagle stanął przedemną jegomość, bardzo podobny do mego wczorajszego gościa. Twarz jedynie była cała wygolona i włosy jaśniejsze, niż u niego.

— Pan jesteś mister Holl Pickroft? — zapytał.

— Tak jest, — odrzekłem.

— Czekałem na pana, atoli pan przyszedł nieco wcześniej, niż było umówione. Dziś zrana otrzymałem list od brata; brat mój bardzo chwali pana.

— Przed chwilą, zanim się pan zbliżyłeś, odczytywałem nazwy kantorów, — odezwałem się, chcąc zatrzeć niedawne wrażenie.

— Ach, tak! Jeszcześmy swego nie obwieścili, bowiem ten lokal jest chwilowy. Proszę niech pan pozwoli, omówimy szczegóły.

Udałem się za nim na górę i weszliśmy do niewielkiego, całkiem pustego, z nagiemi ścianami pokoju. Spodziewałem się ujrzeć wielkie widne sale z rzędami stołów i całą armią pracujących, jak to było u Kocksona, i dla tego ze zdumieniem spojrzałem na mały stół, dwa

krzeselka i małą szafkę, stanowiące całe umeblowanie pokoju, do którego-śmy weszli.

— Niech się pan nie przeraża, mister Pickroft, — rzekł mój towarzysz, widząc, że twarz moja wydłużyła się ze zdziwienia. — Nie odrazu Rzym pobudowany, a my mamy tyle gotówki, że nie potrzebujemy dbać tak wielce o zewnętrzną stronę naszego przedsiębiorstwa. Proszę, niech pan siada i da mi list brata.

Podąłem mu list, wziął go i uważnie odczytał.

— Widzę, żeś pan wywarł na mego brata Artura najkorzystniejsze wrażenie, a to jest sędzia nielada! Dobrze więc, idę za jego radą i mam zaszczyt oznajmić panu, żeś pan na służbę do nas przyjęty.

— Na czem polegają moje obowiązki? — zapytałem.

— W przyszłości będziesz pan zarządzał wielką filią w Paryżu, tymczasem zaś, przez dwa tygodnie zostaniesz pan w Birminghamie, gdzie będziesz mi na innej drodze pomocny.

— Mogę zapytać: na jakiej?

Zamiast odpowiedzi wyjął z szafy wielką księgę czerwoną.

— Jest to księga adresowa Paryża, — rzekł mi, — wyliczone w niej wszystkie banki i domy handlowe. Zechce ją pan wziąć z sobą i zrobić wypis tych wszystkich, które mogą być

użyteczne w naszym interesie. Jest to rzecz, bardzo ważna dla mnie.

— Wszak muszą istnieć w tym rodzaju gotowe już wypisy? — zapytałem.

— Tak, lecz im bardzo ufać nie można. Oprócz tego ma się pan jeszcze w tym wypisie kierować specjalnymi wskazówkami, które tu wypisałem dla pana. Wypis ten, prosiłbym pana, by był gotów na poniedziałek, na 12 godzinę. Do widzenia, mister Pickroft; jeżeli pan będzie pilny i stateczny, sądzę, że będzie panu u nas dobrze.

Wróciłem do hotelu z wielką księgą pod pachą i z wielkiem wątpieniem w sercu. Z jednej strony mam niby stanowisko i sto funtów zaliczki. Z drugiej strony — widok pustego biura, nieobecność urzędników i inne w tym rodzaju szczegóły zmuszały mnie do głębokiej zadumy nad zamożnością moich chlebobawców. Tak czy owak, pieniądze mam w kieszeni; siadłem tedy do roboty. Pisałem przez całą niedzielę, nie rozprostowując krzyża, i dopisałem w poniedziałek zaledwie do litery N. Poszedłem do swego szefa, zastałem go w tym samym pokoju i przedstawiłem księgę. Przedłużył mi termin do środy. Atoli i w środę rzecz nie była skończona; przesiedziałem nad nią do piątku, t. j. do dnia wczorajszego, i znowu udałem się do pana Harry Pinnera.

— Dziękuję panu bardzo! — rzekł mi. — Przykro mi, że pana tak wielce sfatygował ta praca, lecz była to rzecz dla mnie ważna.

— Tak jest, trzeba było nad nią przysiedzieć fałd, — rzekłem.

— Teraz niech pan mi wygotuje drugi taki wypis, jeśli łaska.

— Owszem.

— Jutro koło siódmej niech pan się zgłosi i powie mi, co pan zrobił. Tylko niech się pan nie przeciąża. Nie zaszkodzi, jeżeli pan po dniu pracy spędzi sobie kilka godzin gdzie na muzyczel! Przy tych słowach roześmiał się, a ja zostałem, jak rażony, widokiem złotej plomby na jednym z przednich zębów, z lewej strony szczęki.

Holms aż ręce zatarł z radości, ja zaś słuchałem, nic a nic z tego nie rozumiejąc.

— Niech pan się nie dziwi, panie doktorze, — rzekł Pickroft, — chodzi jednak o to, że kiedy-m rozmawiał wtedy w Londynie z tamtym Pinnerem i kiedy się uśmiechnął na moje oświadczenie, że nie będę pisał do Mawsona, to zauważyłem, że miał plombę złotą na zębie; plomba obecnego Pinnera jest na tym samym zębie i odrazu uderzyła mnie swoją tożsamością. Gdym porównał głos i figurę obydwóch braci i odrzucił to, co łatwo można zmienić przy pomocy brzytwy i farby, nie wątpiłem już dłużej, że obadwaj Pinnerowie stanowią jedną osobę.

Rzecz prosta, bracia mogli by być bardzo podobni, trudno jednak przypuścić, by mieli zaplombowany ten sam ząb, w tem samym miejscu. Pinner wkrótce mnie uwolnił i powróciłem od niego, jak zaczadzony. Przedewszystkiem zlałem głowę wodą zimną z pod kranu i tak orzeźwiony, począłem rozmyślać nad swym losem. Po co mnie wysłał z Londynu do Birminghamu? Po co sam tu przybył przedemną? Po co pisał list sam do siebie? Było to wszystko dla mnie nadto zagadkowym, nie mogłem się z tem uporać — i oto postanowiłem udać się do mister Holmsa. Dziś rano ledwie zdążył na pociąg, by zwiastować mu to wszystko, a oto jedziemy już we trzech do Birminghamu.

— Jak ci się to podoba, Watsonie? — zapytał Holms, gdy Pickroft skończył swe opowiadanie. — Co? nieźle by było, gdybyśmy go zobaczyli, tego pana Pinnera, w jego tymczasowym kantorze Towarzystwa Francuzko-Śródziemno-Hardwardskiego?

— Ale jakże to urządzić? — zapytałem.

— O, to nic trudnego, — rzekł Pickroft.— Powiem mu, że panowie jesteście memi przyjaciółmi i że poszukujecie zajęcia; nie będzie więc nic dziwnego, że przyprowadzam panów do niego, jako do dyrektora towarzystwa.

— Wybornie! — rzekł Holms. — Z przyjemnością popatrzę na tego pana i postaram się

dojść tajemnicy. Ciekawa rzecz, jakie pańskie zalety zdały mu się, jako poręczne, lub też...

Zamilkł i począł wyglądać przez okno. Do końca też drogi nie mogliśmy wydobyć z niego ani słowa.

O siódmej wieczorem szliśmy wszyscy trzej ulicą Corporation wprost do kantoru Pinnera.

— Niema się co spieszyć, — rzekł Pickroft, — siódma za parę minut, on zaś przychodzi regularnie o siódmej; do tej pory kantor jest zupełnie pusty.

— No, nie wiadomo, czy tak jest zawsze, — zauważył Holms.

— A co! nie mówiłem, — zawołał Pickroft. — Oto idzie przed nami. Proszę!

Pokazał nam jegomościa niskiego wzrostu, z jasnym blond włosom, przyzwoicie odzianego, który szedł z drugiej strony ulicy. Widzieliśmy, jak zbliżył się do przekupnia gazet, jak spieszenie kupił gazetę wieczorową i zmiąwszy ją w garści, zniknął w bramie domu.

— Już wszedł, — zawołał Pickroft. — Teraz już jest napewno w kantorze. Chodźmy, pragnąłbym jaknajprędzej dowiedzieć się prawdy.

Poszliśmy za nim na piąte piętro i zatrzymaliśmy się przy drzwiach uchylonych, do których Pickroft zastukał. „Proszę”, rozległ się głos — i oto znaleźliśmy się w pustym pokoju, który opisał nam Pickroft. Przy stole siedział mężczyzna, któregośmy widzieli na ulicy, i czyta

gazetę; gdy podniósł głowę i spojrzał na nas, twarz jego była napiętnowana takim przerażeniem, jakiego-m nigdy, ani przed tem, ani potem już w życiu nie widział. Na czoło wystąpiły mu wielkie krople potu, policzki były białe, jak kreda, oczy błyszczały, jak w gorączce. Spojrzał na Pickrofta, jakby go wcale nie poznając; ten też zdumioną swą twarzą zaświadczał, że nigdy jeszcze w tym stanie nie widział swego zwierchnika.

— Pan jesteś chory, mister Pinner? — zapytał go.

— Tak jest, słabo mi trochę, — odrzekł Pinner, starając się zapanować nad sobą. — Kto są ci panowie, których pan przyprowadziłeś ze sobą?

— Jeden z nich jest mister Harren z Bermonthey, drugi — mister Price z Birminghamu, — rzekł Pickroft nie zmieszany. — Są to moi przyjaciele, którzy są chwilowo bez zajęcia; mają nadzieję, że może pan ich zatrudni czemkolwiek.

— Bardzo, bardzo być może! — rzekł już raźniej Pinner, zmuszając się do uśmiechu. — Bez wątpienia znajdziemy coś dla panów. Jakie są pańskie kwalifikacye, mister Harren?

— Jestem buchalterem, — odrzekł Holms.

— Naturalnie, że coś znajdziemy. A pańskie, mister Price?

— Byłem urzędnikiem w kantorze, — odrzekłem.

— Bardzo być może, że przyjmę panów do siebie. Dam panom znać, jak tylko się ureguluję nieco. A teraz, proszę panów, zostawcie mnie w spokoju! Na Boga, zaklinam panów!

Słowa te wyrwały mu się jakby niechcący z gardła.

Ja i Holms spojrzeliśmy na siebie, Pickroft zbliżył się do stołu.

— Pan zapomniał widocznie, mister Pinner, że pan mi kazał przyjść o tej porze.

— Ależ nie! z kąd znowu! pamiętam dobrze, — rzekł spokojniej. — Proszę, niech pan chwilkę zaczeka. Pańscy przyjaciele, jeżeli pragną, mogą także tu zaczekać. Za trzy minuty będę służył panom.

Wstał, ukłonił się nam grzecznie i zniknął we drzwiach, prowadzących do sąsiedniego pokoju.

— A teraz co? — zapytał Holms szeptem.

— Jeszcze, co nie daj Boże, czmychnie nam.

— Co to, to nie! — rzekł Pickroft.

— Dla czego pan tak sądzi?

— Te drzwi prowadzą do bocznego pokoju.

— Zkąd niema wyjścia?

— Tak.

— Tamten pokój jest umeblowany?

— Do dnia wczorajszego był pusty.

— Cóż tedy on w nim robi? Nie mogę jakoś dojść do ładu. Jeżeli doznał kto kiedy

uczucia przerażenia, to najpewniej on, Pinner. Czegoż się tedy tak przeraził?

— Wziął nas za agentów policyjnych, — zrobiłem przypuszczenie.

— Tak, napewno! — potwierdził Pickroft. Holms pokręcił głową.

— Nie! on był już przedtem błądy, zanim weszliśmy do pokoju, — rzekł. — Bardzo być może, że to...

Słowa te zostały przerwane przez łoskot zwewnątrz przyległego pokoju.

— Cóż to on do własnych drzwi kołace? zawołał Pickroft.

Znow się rozległo stuknięcie, raz i drugi. Patrzailiśmy w stronę drzwi zdziwieni.

Spojrzawszy wypadkiem na Holmsa, spostrzegłem, że twarz jego nagle pobladła i aż uchwycił się za stół, żeby nie upaść. Jednocześnie rozległ się z tajemniczego pokoju jakiś dziki głos schrypnięty i coś runęło na ziemię. Holms jednym skokiem był już u drzwi i pchnął je. Były odwewnątrz zamknięte. Za jego przykładem, obaj nalegliśmy na nie całym ciężarem. Jedna zawora ustąpiła, potem druga, wreszcie drzwi z trzaskiem się otworzyły. Wpadliśmy do pokoju.

Był pusty.

Tak jednak zdawało nam się tylko na pierwszy rzut oka. W kącie, naprzeciwko, były

jeszcze drugie drzwi. Holms pchnął je do środka. Surdut i kamizelka leżały na ziemi, a na haku, za drzwiami, na własnych swych szelkach, wisiał główny dyrektor Towarzystwa Francuzko-Śródziemno-Hardwardskiego. Kolana jego były podgięte, głowa zwisała, a obcasy butów dotykały drzwi. Ztąd hałas, któryśmy słyszeli z przyległego pokoju. Jednej chwili chwyciłem go w pół i uniosłem do góry, Holms i Pickroft pospiesznie zdejmowali pętlicę. W niespełna minutę nieśliśmy go już do pierwszego pokoju, gdzie złożyliśmy na stole.

— Co sądzisz o tem, Watson? — zapytał Holms.

Pochyliłem się nad bezwładnym i zbadałem go uważnie. Puls jeszcze się kołatał słabo i nierówno, oddech był zaledwie dostrzegalny; a pod powiekami, które się zlekka rozemknęły, szklił się biały oka.

— Omal że nie skończył, — rzekłem, — jeszcze chwilka i było by po nim. Teraz wszakże będzie żył. Otwórzcie panowie okno i dajcie mi karafkę z wodą.

Rozpiąłem mu kołnierz, prysnąłem wodą na twarz i przez długi czas starałem się sztucznym sposobem wywołać oddech pełniejszy.

— Teraz to już tylko kwestya czasu, — rzekłem, odstępując wreszcie od leżącego.

Holms stał przy stole z rękoma w kieszeniach, z głową pochyloną.

— Należało by dać znać policyi, — rzekł po chwili, — przedtem atoli chciałbym rzecz wyświetlić.

— Nic a nic z tego nie rozumiem, — rzekł Pickroft, potrząsając głową, — po co im trzeba było sprowadzać mnie tutaj i wplątywać w jakąś dziwną kabałę?

— A dla mnie to wszystko bardzo jasne, — odrzekł Holms, — jednego tylko nie pojmuję, co go popchnęło do targnięcia się na własne życie?

— Jakto? więc reszta całkiem dla pana zrozumiała?

— Przypuszczam, że tak. A ty co powiesz o tem, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

— Jedno tylko mogę powiedzieć, — odrzekłem, — że nic a nic nie rozumiem.

— Jeżeli zastanowisz się trochę, dojdiesz, że wszystko tu zdąży do jednego celu.

— Ale — do jakiego?

— Cała rzecz oparta na dwu głównych czynach. Pierwszy: zmuszenie Pickrofta do napisania deklaracji, że pragnie objąć posadę w owem fikcyjnem Towarzystwie Francuzko-Sródziemno-Hardwardzkim. Czyż nie domyślasz się, na co im to było potrzebne?

— Przyznam ci się, że nic jeszcze nie rozumiem.

— Ależ to takie jasne. Tego rodzaju umowy zawierają się zazwyczaj ustnie, nie było żadnej racyi wyłamywać się z ogólnie przyjętego zwyczaju. A więc — oczywista, że potrzebny im był charakter pańskiego pisma, panie Pickroft! Oto — wszystko.

— Ale do czego?

— Do czego! To także nie trudne do rozwiązania. Widocznie ktoś zapragnął podszyć się pod pańskie pismo i dla tego był mu niezbędny wzór tego pisma. A teraz przejdziemy do drugiego punktu i obaczymy, że stwierdza poniekąd pierwszy. Polega on na tem, że Pinner domagał się usilnie, żebyś pan nie zawiadamiał Mawsona o odmowie co do przyjęcia posady, czyli — żeby zarządzający Mawsona pozostał w tem przekonaniu, że w poniedziałek wstąpi do służby nowy urzędnik — Holl Pickroft.

— Boże! — wykrzyknął Pickroft, jakież ja byłem naiwny! Jak można było dać się tak wywieść w pole!

— Teraz, jak pan widzi, wyjaśnia się, po co był potrzebny wzór pańskiego pisma. Niech pan sobie wyobrazi, że zamiast pana obejmuje tę posadę ktoś inny, który pisze całkiem innym pismem, niż była pisana prośba; rzecz prosta, iż oszustwo odrazu by się wykryło. Tymczasem ów „ktoś” wystudyował pański charakter pisma i jest zupełnie zabezpieczony, przy-

puszczam bowiem, że nikt tam w biurze nie widział nigdy pana.

— Żywa dusza mnie tam nie zna, — jęknął Pickroft.

— A widzi pan! Ważną następnie rzeczą było usunąć pana jak można najdalej, żebyś pan wypadkiem nie dowiedział się... o swem urzędowaniu u Mawsona. Dano panu w tym celu ów awans i posłano tutaj, gdzie natychmiast opatrzone ładajaką robotą, niby bardzo pilną, żeby przeszkodzić ochocie wyjazdu do Londynu, która mogła by się przy mniejszej pracy nastęczyć. Czyż to nie jasne?

— Po cóż tedy ten jegomość grał rolę swego brata?

— I to oczywiście. Najwidoczniej — jest ich dwóch. Jeden z nich gra obecnie pańską rolę urzędnika w biurze Mawsona. Drugi grał rolę pańskiego protektora; ponieważ jednak potrzebna jest do tego i trzecia osoba, a człowiek obcy w tej spółce nie był by pożądany, zmienił przeto swoją powierzchowność, licząc na to, że podobieństwo rodzinne dwóch braci nie będzie pana raziło. I rzeczywiście, gdyby nie ten ząb zaplombowany, nie zbudziło by się tak prędko w panu podejrzenie.

Holl Pickroft załamał ręce z rozpaczy.

— Boże! — wykrzyknął, — lecz co ten drugi Pickroft robił tam w kantorze? Co począć, mister Holms, by w porę zapobiedz?

— Trzeba telegrafować do Mawsona.

— W soboty zamykają o 12-ej.

— Nic nie szkodzi. Może będzie tam jaki woźny lub służący.

— Naturalnie! przecie musi być dyżurujący: toć mają kosztowności w skarbcu.

— A więc tak! zatelegrafujemy do nich z zapytaniem, czy wszystko w porządku i czy służy u nich urzędnik z takim, jak pańskie, nazwiskiem. Wszystko to bardzo oczywiste, ale oto, czego nie pojmuję, że jeden z tych łotrów, obaczywszy nas, poszedł i powiesił się.

— Gazeta! — wykrztusił naraz ktoś za nami. Był to Pinner, który odzyskał przytomność, uniósł się i siadł, zataczając dokoła błędnymi jeszcze oczyma i obmacując rękoma swą szyję.

— Gazeta! Ależ naturalnie, że gazeta,— zawołał Holms, — toż-em idyota! Zapomniałem całkiem o gazecie, a przecie w niej najpierw szukać wypadało przyczyn tego kroku.

Porwał gazetę ze stołu — i krzyk mimowolny wyrwał mu się z piersi.

— Patrz no, patrz no, Watsoniel! Wieczorne wydanie „Evening Standart”. Wszystko, czego nam potrzeba. Czytaj. „Zbrodnia w Citi. Zabójstwo u Mawsona i Williamsa. Usiłowanie grabieży; ujęcie zbrodniarza“. Bądź łaskaw, Watsonie, przeczytaj to nam głośno.

„Ogromnie śmiałe usiłowanie rabunku wraz z zabójstwem, zakończone ujęciem zbrodniarza, poruszyło dzisiaj całą dzielnicę. Parę tygodni temu do firmy Mawson i Williams złożone zostały na przechowanie kosztowności w cenie około miliona funtów. W tym celu zostały zakupione nowe kasy ogniotrwałe najnowszego systemu, a w gmachu dniem i nocą dyżurował policyant. Tydzień temu przyjęty został na posadę nowy urzędnik, nazywający się Pickroft. Okazało się, że pod tem nazwiskiem ukrywał się znany dobrze policyi, zbrodniarz i rabuś, Beddington, który zbiegł z więzienia razem ze swym bratem. Jakimś sposobem udało mu się pod obcym nazwiskiem wejść w szeregi pracujących w kantorze, z czego wkrótce skorzystał, zdejmując z zamków woskowe odbicia, by następnie dostać się do kas ogniotrwałych.

W sobotę biuro u Mawsona skończyło się o 12-ej w południe. Dla tego sierżant Tuzan, stróżujący przed gmachem, był nieco zdziwiony, ujrawszy jegomościa, wychodzącego z kantoru z workiem podróжным w rękę. Tknięty jakimś przecuciem, udał się za nim i przy pomocy drugiego policyanta aresztował go, pomimo gwałtownego ze strony złoczyńcy oporu. W torbie znaleziono wiele papierów wartościowych i cały stos banknotów.

Zrewidowawszy następnie kantor, znaleźli ciało stróża związane i wciśnięte do kasy ognio-

trwałej. Zbrodnia nie była by się wykryła prędzej, niż w poniedziałek, gdyby nie domyślność sierżanta. Widocznie Beddington powrócił pod jakimś pozorem do kantoru, zabił stróża i niezwłocznie wziął się do rabunku, zagarnawszy, ile się dało. Brat jego, zazwyczaj w spółce z nim operujący, dotychczas nie wykryty pomimo energicznych pościgów.

— Co do tego, pomożemy nieco policyi, — rzekł Holmes, wskazując na złoczyńcę, wciąż jeszcze siedzącego w dawnej swej pozycji.

— Dziwny twór — człowiek, nie prawnik, Watsonie? Nawet łotr i zabójca może wzbudzić w swym bracie tyle przywiązania, że na wieść o ujęciu jego, targnie się na swe życie z rozpaczą. Nie mamy tu atoli nic innego do czynienia. Ja i doktor zostaniemy na straży, a pan, mister Pickroft, zbiegniesz na dół i sprowadzisz policyę.

Faint, illegible text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.

СТАВУ ПАЦУЕНТ.

STEAR PATENT

Stały pacjent.

Był dżdżysty dzień wrześniowy. Sztory w naszym pokoju były do połowy spuszczone. Holms leżał zwinięty na kanapie i po raz, nie wiem już który, odczytywał list, który otrzymał ranną pocztą. Od upału prawie omdlewał. Ja czułem się znacznie rzeświejszy, a to dzięki mej kilkoletniej służbie w Indyach, która mnie przyzwyczaiła do znacznie większych upałów. Gazeta, którą-m czytał, nie była ciekawą. Parlament święcił ferye. Znajomi się rozjechali, a i mnie ciągnęło gdzieś do lasu, czy na brzeg morski. Atoli warunki pieniężne tak się złożyły, że urzeczywistnienie tego marzenia musiałem odłożyć na jakiś czas dłuższy. Co się tycze mego towarzysza, nie nęciły go ani las, ani woda; lubił leżeć u siebie w domu, czuć się pośród gwarnej pięciomilionowej ludności i rozwiązywać jakieś tajemnicze, zagmatwane

sprawy. Umiłowanie przyrody było dlań rzeczą obcą; miasto porzucał tylko wtedy, kiedy zło-
czyńca, jako teren działania, przełożył wieś nad
mury miejskie.

Widząc, że Holms nie kwapi się do rozmowy, odrzuciłem natrętną gazetę, wtuliłem się głę-
biej w fotel i dałem folgę mym myślom. Naraz
obudził mnie z zadumy głos mego druha.

— Masz rację, Watsonie, — rzekł mi, —
w ten sposób załatwiać sprawy jest rzeczą zgo-
ła nierozsądną.

— Zgoła nierozsądną! — zawołałem i ażem
powstał z podziwu, bowiem temi słowy wy-
powiadał głośno to, com myślał w tej chwili po-
cichu.

— Cóż to takiego, mój drogi? Wiesz, to
już przechodzi wszelkie granice rozpoznawczel!

Holms roześmiał się, widząc moje zdumienie.

— Czy pamiętasz? — rzekł mi, — nieda-
wno czytałem ci jeden z utworów Poe'go, w któ-
rym subtelny spoztrzegacz i myśliciel śledzi ruch
myśli swego towarzysza, chociaż ów nie wy-
owiada ich na głos. Śmiałeś się wtedy z tego
i nazywałeś to fantazyą literacką. A gdym ci
oświadczył, iż zazwyczaj trzymam się tej samej
zasady obserwacyjnej, zwątpiłeś w słuszność
słów moich.

— Co znowu!

— Tak jest, Watsonie! Nie powiedziałeś mi tego otwarcie, lecz wyczytałem to wyraźnie z twoich oczu. Gdym spostrzegł obecnie, żeś odrzucił gazetę i pogrążył się w dumaniu, byłem rad wielce, że mogę śledzić bieg twoich myśli i uwagą w porę dać ci dowód, żeś się nie chełpił zbyt. —

Atoli to oświadczenie ogólne nie zadowoliło mnie całkowicie.

— W utworze, który mi wówczas czytałeś, — rzekłem, — spostrzegacz wyprowadził wnioski z czynności człowieka, którego obserwował; o ile pamiętam, ów potknął się o kupę kamieni, spojrzął do góry w gwiazdy i t. p. Ja zaś siedziałem całkiem bez ruchu w fotelu i, zdaje się, niczem nie nastęczyłem się twojej obserwacji.

— Jesteś niesprawiedliwy względem siebie. Rysy twarzy wybornie zdradzają myśli człowieka, a ty pod tym względem jesteś okazem doskonałym.

— Chcesz przez to powiedzieć, żeś wysledził ruch moich myśli z rysów i wyrazu mej twarzy?

— Nie inaczej; osobliwie zaś z wyrazu twych oczu. Prawdopodobnie sam już nie pamiętasz, o czem myślałeś na początku?

— Nie pamiętam, rzeczywiście.

— A więc ja ci powiem. Odrzuciwszy gazetę, — a ruch ten, muszę ci powiedzieć, zwrócił moją uwagę i popchnął do obserwacji, —

siedziałeś z pół minuty, nie myśląc o niczem. Następnie oczy twe zatrzymały się na wizerunku generała Gordona, którego niedawno oprawiłeś w ramkę, i wtedy spostrzegłem z twoich oczu, że począł się bieg myśli. Nie na długo jednakże. Oczy twe przeniosły się wkrótce na wizerunek Henryka Beechera, który bez ramki stoi na książkach. Potem spojrzaleś na ścianę i wyraźną była myśl, która błysnęła ci w głowie; pomyślałeś, że gdyby wizerunek Beechera był w ramce, doskonale pasował by na ścianie, jako odpowiednik do wizerunku generała Gordona.

— Nadzwyczajnie! — wykrzyknąłem, — dotychczas nie chybiłeś ani na jotę.

— Dotychczas trudno by nawet chybić. Myśli twe następnie zwróciły się ku Beechero-
wi; wpatrzyłeś się uporczywie w jego wizerunek, jakby studyując te rysy; potem się zamysliłeś. Przypomniałeś sobie szczegóły z jego czynnego życia. Byłem pewny, że nie możesz przytem pominąć tej misyi, jaką wziął na siebie ów mąż podczas Wojny Cywilnej. Potem zauważyłem, żeś przestał patrzeć na wizerunek; miałem cię w podejrzeniu, żeś się zamyslił o losach tej wojny, a gdym zauważył, że usta twe zacisnęły się i oczy rozbłysły, byłem już pewny, żeś pomyślał o męstwie, jakie obie strony okazały w tej walce rozpacznej. Potem atoli twarz twoja posmutniała, pokiwałeś głową, przyszła ci

na myśl cała bezużyteczność tych strat siły i energii. Ręka twa mimowoli spoczęła na twej ranie dawnej, a uśmiech ledwie dostrzegalny zakwitł w kątach ust twoich; dało mi to powód do myślenia, że ten sposób załatwiania spraw międzynarodowych wydał ci się zgoła nierozsądnym. Nie mogłem nie zgodzić się na to z tobą; rad jestem, że moje spostrzeżenia sprawdziły się w rzeczy samej.

— Od a do z — najzupełniej słuszne, — rzekłem na to, — i ja teraz muszę wyznaczyć otwarcie, że jestem wprost zbity z tropu twym jasnowidzeniem.

— Cóż znowu! to — drobiazg — i nie byłbym nawet zwracał twej uwagi na to, gdybyś parę dni temu nie oświadczył się przeciw tej zasadzie. No, ale zdaje się, że się nieco ochłodziło. Możebyśmy się przeszli trochę?

Sprzykrzyło mi się siedzieć w domu i dla tego chętnie zgodziłem się na przechadzkę.

Chodziliśmy blisko trzy godziny po mieście, podczas których dowcipne uwagi Holmsa i jego dar spostrzegawczy rzeczy nowych i ciekawych budziły we mnie zachwyty niekłamany.

Wróciliśmy do domu koło dziesiątej wieczorem. Przed domem naszym stał powóz.

— Aha! widocznie jakiś doktor, — zauważył Holms, — praktyka nie dawna, lecz dosyć liczna. Przyjechał, zdaje się, na poradę do nas; dobrze, żeśmy na czas wrócili.

Byłem już dostatecznie obznajmiony ze „sposobami” Holmsa, bym mógł wysledzić bieg jego myśli, to też obejrzawszy uważnie wnętrze karety, dostrzegłem w niem pudełko z narzędziami, na które padał blask latarni; dało to najwidoczniej Holmsowi podstawę do jego twierdzeń doraźnych. To zaś, że okna nasze na górze były oświetlone, upewniło go odrazu o widzenie, jaka nam przypadła w udziale. Z najwyższym zaciekawieniem, co mogło sprowadzać o tak późnej porze nieznanego kolegę, szedłem po wschodach wraz z Holmsem.

Gdyśmy weszli, podszedł ku nam jegomość bladej, wysokiego wzrostu i z jasnym zarostem. Mógł mieć lat trzydzieści z czemś, chorowita atoli cera i wygląd sfatygowany wskazywały wyraźnie, iż młodość musiał spędzić burzliwie. Ruchy i zachowanie się były skromne, a wążka biała ręka, którą złożył na kominku, zdradzała raczej artystę, niżli brata-lekarza. Ubrany był skromnie, lecz wykwintnie; jedynie krawat urozmaicał barwną plamą czarną całość ubrania.

— Witam doktora, — rzekł Holms uprzejmie, — rad jestem, że nie długo czekał na nas doktor.

— Pytałeś pan o to stangreta? — zapytał zdziwiony.

— Zkąd znowu! Poznałem to po świecy, która stoi na stole. Proszę, niech doktor siada i powie, czem mu możemy służyć.

— Pozwolicie panowie, że się im przedstawię: jestem doktor Percy Trevellan, mieszkam na Brook Street, № 403.

— Czy to pan jesteś, doktorze, autorem broszury o roli nerwów przy zranieniach? — zapytałem.

Blada twarz jego splonęła radością na wieść, że znam jego broszurę.

— Tak rzadko zdarza mi się coś usłyszeć o mojej pracy, — rzekł; wydawca zapewnia mnie, że książka całkiem nie idzie. Zapewne pan sam jesteś lekarzem?

— Tak. Jestem dymisyonowanym lekarzem wojskowym.

— Choroby nerwowe były zawsze moją specjalnością. Niestety! w życiu zazwyczaj najtrudniej poświęcić się temu, do czego się ma ochotę szczególną. Nie stosuje się to jednak do rzeczy, a wiem to dobrze, mister Holms, że czas pański drogi. Chodzi tedy o to, że w domu moim na Brook Street dzieją się rzeczy nader dziwne i dzisiaj do tego stopnia zmieniły się na gorsze, że postanowiłem udać się do pa-nów po radę.

Holms usadowił się i zapalił fajkę.

— Słucham pana, — rzekł, — proszę, niech pan opowie ze wszystkimi szczegółami, co sprawia panu niepokój.

— Mam właśnie pewne skrupuły, — rzekł doktor Travellan, — że niektóre fakty są nadto

małoznaczne, tak że mi nawet wstyd je przytaczać; ponieważ jednak cała sprawa przybrała nadto dziwny obrót i całkiem jest dla mnie niepojęta, nie będę się wahał wyłożyć najdrobniejszych szczegółów, z których sam pan snadnie dociecze, co jest ważne, a co bez znaczenia.

Nasamprzód muszę zacząć od własnych losów. Skończyłem uniwersytet w Londynie i — sądzę, że nie weźmiecie mi tego panowie za przechwałkę, gdy powiem, że profesorowie pokładali we mnie ogromne nadzieje. Po skończeniu nauk poświęciłem się licznym badaniom i mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że dzieło moje o patologii katalepsy obudziło w świecie naukowym wiele żywego zainteresowania. Do tej epoki zalicza się i moja praca z dziedziny nerwów, o której wspomniał kolega. Wróżyli mi wszyscy świetną przyszłość.

Na nieszczęście stanęła na drodze niezwalczona przeszkoda pod postacią pustego worka. Wiecie o tem panowie, że specjalista, pragnący zdobyć rozgłos i praktykę, musi się odpowiednio „urządzić“, t. j. zamieszkać w dzielnicy arystokratycznej, najdroższej, sprawić meble, trzymać służbę etc. etc. Musi mieć także powóz i konie, nadto zasób pieniężny na pierwsze początki, zanim rozgłos pozyska. Na to wszystko nie miałem zgoła funduszów i mogłem liczyć na nie zaledwie po latach dziesięciu wielkich oszczęd-

dnosci. Naraz niespodzianie odkryły się przedemną całkiem nowe widoki.

Stało się to w sposób następujący. Pewnego dnia zgłosił się do mnie pewien jegomość, którego przedtem nie znałem, a który przedstawił mi się, jako Blessington. Wszedłszy do mieszkania, odrazu przystąpił do rzeczy.

— Czy pan jesteś panem Percy Travellan'em, który otrzymał niedawno wielką nagrodę konkursową za swoją pracę? — zapytał.

Skłoniłem się w odpowiedzi.

— Powiedz mi pan otwarcie, — ciągnął dalej, — bowiem to leży w pańskim interesie, — czy pan jesteś równie taktowny, jak uczony, by stworzyć sobie karierę?

Nie mogłem nie roześmiać się na to dziwne pytanie.

— Przypuszczam, żem w tym względzie niegorszy od innych, — odrzekłem.

— No, a co się tycze wypitki, jakże tam?

— Ależ, panie! — oburzyłem się.

— Niech się pan nie gniewa! To potrzebne do moich wiadomości. No, i powiedz pan: wobec takich zalet siedzisz pan bez praktyki?

Wzruszyłem ramionami.

— No, no, — rzekł mój gość tonem uspakajającym. — Stara historia, wiemy o tem. Masz pan więcej w głowie, niż w kieszeni, oto wszystko, nieprawdaż? Co byś pan jednak powiedział, gdybym dopomógł panu do urządzenia.

się, jak należy, chociaż by tu, na Brook Street?

Patrzałem na niego ze zdumieniem.

— O! robię to jedynie dla swojej korzyści, nie dla pańskiej, — rzekł. — Będę z panem zupełnie otwarty — i jeżeli się pan zgodzi na moją propozycję, wyjdę na tem niezawodnie dobrze. Mam kilka setek zbywających, dla czegoż nie miał bym ich użyć korzystnie?

— Lecz jakim sposobem?

— Oto wydał bym je na pana, by potem odzyskać z procentem; jest to spekulacja, jak każda inna, przytem niewątpliwie pewna.

— Cóż ja jednak mam czynić w tej sprawie?

— Otóż powiem panu, posłuchaj! Najmę lokal, umebłuję go, najmę służbę i będęłożył na wszystkie pana potrzeby. Pan jedynie będzie przyjmował chorych, nic więcej. Będę nawet dawał panu na pańskie przyjemności. A za to wszystko pan mi będzie oddawał trzy czwarte całego zarobku, jedną czwartą pozostawiając dla siebie.

Oto jakiego rodzaju propozycję zrobił mi ów pan Blessington. Nie będę utrudzał panów opisem naszych pertraktacyj i umów, powiem jedynie, że ostatecznym ich rezultatem było przeniesienie się moje nazajutrz do nowego lokalu, gdzie wszystko, tak jak rzekł, zostało urządzone. Sam też zamieszkał ze mną w charakterze „stałego

pacyenta“. Miał wadę serca i widocznie potrzebował stałego dozoru lekarskiego. Zajął dwa najlepsze pokoje w lokalu, jeden na sypialnię, drugi — na salon dla siebie. Życie wiódł nadzwyczaj dziwaczne, unikał ludzi i nigdzie nie wychodził; co do jednego tylko, był niezmiernie akuratny: każdego wieczoru, o tej samej porze, zjawiał się w moim gabinecie, przeglądał książkę rachunkową, oddawał mi czwartą część każdej gwinei, a resztę zanosił do swego pokoju i chował do kasy ogniotrwalej.

Z całą pewnością rzec mogę, iż nie wypadło mu żałować tej afery, jaką na mej osobie założył. Od samego początku zyskałem powodzenie. Kilka wypadków szczęśliwych — i rozgłos, jaki im towarzyszył, wysunął mnie odrazu na czoło; w ciągu ostatnich dwóch lat, dzięki mnie, stał się człowiekiem bogatym.

— Opowiedziałem już panom całą moją przeszłość i stosunek mój do mister Blessingtona. Obecnie pozostaje mi do wyjaśnienia, dla czego zgłosiłem się dziś do pana, mister Holms.

Kilka dni temu zjawił się u mnie Blessington wieczorem, niezmiernie wzburzony i poirytowany. Opowiedział mi o rabunku, jakiego dopuszczono się w Westendzie, i ile sobie przypomnieć mogę, ogromnie był tem przerażony; twierdził że zaraz nazajutrz każe sporządzić podwójne zasuwę do drzwi i do okien naszego mieszkania. Przez cały tydzień był silnie pod-

niecony, wciąż wyglądał przez okno, jakby kogoś z obawą wypatrując, i nawet przestał wychodzić na zwykły spacer codzienny, który odbywał przed obiadem. Widząc jego wzburzenie, wywnioskowałem, że czegoś lub kogoś się boi, kiedy jednak zagadnąłem go o to, tak się rozgniewał, że musiałem dalszych pytań zaniechać. Powoli dopiero, w miarę jak czas upływał, rozdrażnienie jego mijało, aż wreszcie wrócił do trybu zwykłego. Naraz stał się wypadek, który go pogrążył całkowicie w ten stan rozpaczny, w którym się teraz znajduje.

A było tak: Dwa dni temu otrzymuję list, który zaraz panom odczytam. List jest bez daty i bez podpisu. Brzmi, jak następuje:

„Szlachcic-Rosyanin, mieszkający czasowo w Anglii, pragnie zasięgnąć porady doktora Travellana, cierpi bowiem od wielu lat na ataki katalęptyczne, co, jak wiadomo, stanowi wybitną specjalność naukową doktora Travellana. Jeżeli nie zrobi to różnicy szanownemu doktorowi, pacjent zgłosi się jutro kwadrans na siódmą wieczorem”.

List ten zaciekał mnie bardzo, główny bowiem skrupuł co do badania tej choroby polega na tem, że nie często się ona zdarza. Dla tego też, jak to panowie słusznie przypuszczacie, o oznaczonej porze byłem w domu, czekając na pacyenta.

Był to niemłody już jegomość, szczupły, wysoki, wyglądu całkiem pospolitego. Nato- miast towarzysz jego poprostu olśnił mnie swą powierzchownością. Proszę sobie wyobrazić mło- dzieńca, z niezmiernie piękną twarzą i z ciałem Herkulesa. Podtrzymawał chorego i pomógł mu dojść do krzesła, okazywał przytem tyle tkli- wości i słodczy, że aż nie licowało to z jego mę- zką postawą.

— Niech pan wybaczy nam nasze najście, doktorze! — rzekł po angielsku z ledwie do- strzegalnym obcym akcentem, — ale to mój ojciec i niepokoję się wielce stanem jego zdro- wia.

Byłem wprost wzruszony jego czułością synowską.

— Może pan zechce być obecnym przy naszej konsultacyi? — zapytałem go.

— Za nic na świecie! — wykrzyknął prze- straszony. — Za wiele by mnie to kosztowało. Gdybym zobaczył kiedy mego ojca w chwili ataku, ręczę, że bym tego nie przeżył. Moje nerwy i tak już są stargane. Jeżeli doktor po- zwoli, zaczekam w poczekalni, zařim się skoń- czy zbadanie.

Zgodziłem się na to, rzecz prosta, i mło- dzieńiec wyszedł z pokoju. Zająłem się szcze- gółowem badaniem chorego, robiąc notatki w książ- ce. Nie odznaczał się wielką inteligencyą i da- wał czasami odpowiedzi niejasne, niedokładne,

com zresztą kładł na karb jego nieznamomości języka.

Naraz przestał odpowiadać na moje pytania, wyprężył się na krześle i utkwiał we mnie nieruchomy wzrok szklany. Oczywiście, zaczął się atak choroby.

Pierwszem mem uczuciem był przestrach i litość, drugim już — satysfakcja, jako człowieka fachu. Zanotowałem tętno i ciepłość chorego, zbadałem skostniałe jego kończyny i wypróbowałem ich sprawność pod względem odruchów. W tym razie było wszystko tak samo, jak w innych, których byłem świadkiem. Stosowałem zawsze jeden środek, który działał znakomicie. Ponieważ butelka z lekarstwem była w mej pracowni na dole, zostawiłem chorego i zbiegłem na dół. Nie mogłem jej znaleźć na razie, tak że upłynęło parę minut, zanim wróciłem na górę. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy wszedłszy do gabinetu, nie znalazłem w nim chorego. Pokój był pusty.

Oczywiście, natychmiast wpadłem do poczekalni. Syn także zniknął. Drzwi do przedpokoju były przymknięte, lecz nie zatrzaśnięte. Lokaj, który usługiwał, był niedawno przyjęty i nie odznaczał się sprytem bynajmniej. Siedział zazwyczaj na dole i tylko na mój dzwonek przybywał, by odprowadzić chorego. Tym razem nic, jak powiada, nie słyszał — i wypadek pozostał zagadką. Mister Blessington po-

wrócił wkrótce z przechadzki, nic mu atoli nie wspominałem o tem tajemniczem zdarzeniu, a to prawdę rzekłszy, dla tego, że ostatniemi czasy starałem się mieć z nim jaknajmniej do czynienia.

Myślałem, rzecz prosta, że już nigdy nie ujrzę mego pacyenta, ani jego syna, to też proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdym dzisiaj o tej samej porze ujrzał ich obydwóch, wchodzących do mego gabinetu.

— Muszę przeprosić pana bardzo, doktorze, za to raptowne zniknięcie, — rozpoczął ojciec.

— Istotnie, wyznaję, że byłem bardzo zdziwiony, — powiedziałem.

— Cała rzecz w tem, że kiedy powracam po ataku do przytomności, to nic a nic nie pamiętam z tego, co przedtem było. Ocknąłem się naraz w nieznanym mi pokoju, jak we śnie wyszedłem z domu i znalazłem się, sam nie wiedząc kiedy, na ulicy.

— Ja zaś, — wtrącił syn, — widząc że ojciec wychodzi od pana, mniemałem, że konsultacya skończona; pojechaliśmy tedy do domu i tam dopiero wyjaśniło się to nieporozumienie.

— No, nic się złego nie stało, — rzekłem śmiejąc się, — chociaż wyznaję panom, że byłem wielce zdziwiony. Jeżeli pan życzy sobie, możemy obecnie nawiązać naszą konferencyę, która się wtedy tak niefortunnie przerwała.

Dobre pół godziny egzaminowałem chorego aż wreszcie zapisałem mu lekarstwa i oddałem go pod opiekę syna; wyszli obadwaj, trzymając się pod rękę.

Mówiłem już panom, że o tej porze Blessington wychodził zawsze na przechadzkę. Wkrótce po wyjściu tej pary powrócił i udał się do siebie na górę. Po minucie już atoli posłyszałem, że jak waryat pędzi po wschodach wprost ku mnie.

Kto był w moim pokoju? — krzyczał, odchodząc prawie od zmysłów.

— Nikt, — odrzekłem.

— Falsz! Idź pan i zobacz!

Nie zwracałem uwagi na jego ton obelżywy, widziałem bowiem, że jest zgoła niepoczytalny. Gdyśmy weszli na górę, pokazał mi czyjeś ślady na dywanie.

— To moje ślady — podług pana? — wrzeszczał, jak opętany.

Istotnie, nie mogły to być jego ślady; były na to za duże i za świeże. Jak panom wiadomo, dziś padał deszcz — i oprócz tego chorego z synem nikt nie przychodził. Najwidoczniej młodzieniec ów, oczekujący w poczekalni, z niewiadomych mi powodów udawał się na górę, gdym z jego ojcem obcował. Nic nie było ruszone, wszystko stało na swem miejscu, atoli byoby obcej osoby był niezaprzeczoney.

Mister Blessington tak był tem wzburzony, że aż w kłopot mnie wprawiał, chociaż, prawdę rzekłszy, każdy by się tem przejął. Siedział w fotelu i płakał spazmatycznie, tak że z trudem udało mi się uspokoić go. Na jego nalegania przyszedłem do panów po radę, chociaż, mówiąc otwarcie, jestem zdania, że zanadto powiększa znaczenie tego wypadku. Jeżeli panowie udacie się wraz ze mną, przynajmniej uspokoić go nieco, bowiem wątpię, czy się wam uda wyjaśnić to zagadkowe zdarzenie.

Holms całego tego opowiadania słuchał z tak natężoną uwagą, że odrazu spostrzegłem, iż rzecz ta dla niego ma wagę niezwykłą. Twarz jego, jak zawsze, była obojętna, powieki tylko opadły głębiej na oczy, a z fajki dym coraz gęstszy się kłębił. Gdy gość nasz skończył, Holms powstał milcząc, wziął swój kapelusz, podał mi mój i za doktorem Travellanem skierował się ku drzwiom.

Po kwadransie jazdy stanęliśmy przed domem na Brook-Street, gdzie mieszkał doktor. Wpuścił nas chłopiec-lokaj i po wschodach, zasłanych kobiercami, udaliśmy się na górę.

W pół drogi atoli zatrzymała nas raptowna przeszkoda. Światło na górze zgąsło niespodzianie i w ciemności rozległ się głos drżący:

— Rewolwer! mam rewolwer! — zawodził ów głos, — daję słowo, że strzelę, jeżeli się kto zbliży!

— No! tego już za wiele, mister Blessington, — zawołał Trevellan.

— Ach, to pan jesteś, doktorze? — rzekł głos z ulgą widoczną, — ci jednak panowie, którzy są z panem, kim się mianują? kim?

Czuliśmy, że w ciemności ktoś nas bacznie rozgląda.

— Tak! teraz wszystko w porządku, — ciągnął głos dalej, — proszę panów, bardzo proszę! i przepraszam za tak niegościnnie przyjęcie.

Zapalił gaz na wschodach — i ujrzeliśmy przed sobą człowieka, który widocznie był wielce zgrzyziony tem wszystkim, co zaszło. Był bardzo otyły i prawdopodobnie przedtem był jeszcze większej tuszy, lecz opadł z ciała, gdyż skóra zwisała na policzkach, cera była chorobliwie i wstrętnie żółta, a rzadkie rude włosy jeżyły się na głowie ze strachu. W ręku trzymał rewolwer; na widok nasz atoli schował go do kieszeni.

— Dobry wieczór, mister Holms, — rzekł, — jestem panu niezmiernie obowiązany, żeś pan raczył przybyć na moje wezwanie. Potrzebna mi pańska rada niezbędnie. Doktor Travellon mówił już zapewne panom o tajemniczem najściu do mego pokoju?

— A jakże! mówił, — odrzekł Holms. — Któż są ci dwaj panowie, mister Blessington, i dla czego tak dokuczają panu?

— A czy ja wiem! — odrzekł Blessington wzburzony.

— Chcesz pan powiedzieć, że nie znasz racyi, dla której pana niepokoją?

— Oto proszę, niech panowie wejdą, — i z temi słowy wprowadził nas do swej sypialni, wielkiego i ładnie umeblowanego pokoju.

— Widzicie panowie? o tu! — rzekł, pokazując wielki czarny kufer w nogach łóżka. — Nigdy nie byłem tak bardzo bogaty, mister Holms, — może to zaświadczyć sam doktor Travellan, — lecz zarazem nigdy nie ufałem bankom. Wszystko, co mam, wyznaję to panom, mieści się w tym oto kufrze; zrozumiecie więc panowie, czem jest dla mnie przeświadczenie, że obcy człowiek podczas mej nieobecności zakradał się do pokoju!

Holms spojrział pytająco w twarz Blessingtona i pokiwał głową.

— Radzę panu nie starać się wyprowadzać mnie w pole, — rzekł.

— Przecie panu wszystko powiedziałem.

Holms z miną niezadowoloną wykręcił się na obcasach.

— Dobrej nocy, doktorze, — rzekł.

— Jakto? nie udzieli mi pan żadnej rady? — zapytał Blessington, a głos jego zadrgał rozpacznie.

— Jednej mogę udzielić panu rady, a tą jest: mówić prawdę.

W minutę po tem byliśmy już na ulicy i skierowaliśmy się ku domowi. Przeszliśmy całą Oxford Street, zanim usłyszałem słowo od mego towarzysza.

— Przepraszam cię, Watsonie, za fatygę z powodu tego cymbała, — rzekł nareszcie. — Chociaż w gruncie rzeczy sprawa ta nie pozbawiona pewnej niepowszedniości.

— Nic a nic jej nie rozumiem, — przyznałem się otwarcie.

— Chodzi o to, że dwóch czy może więcej ludzi pragnie się dla jakichś celów dostać do Blessingtona. Nie wątpię o tem, że ów piękny młodzieniec, jak pierwszym, tak i drugim razem, bawił w pokoju Blessingtona, podczas gdy rzekomy ojciec pozostawał w gabinecie doktora.

— Ależ atak?..

— Najzwyklejsze oszustwo, Watsonie, chociaż o tem nie napomknąłem naszemu specjaliście. Bardzo jest łatwo udać tę chorobę, sam nieraz to stosowałem.

— Cóż dalej?

— Traf zdarzył, że Blessingtona nie było w domu. Wybrali tę niepospolitą godzinę na poradę, żeby w poczekalni nie było nikogo prócz nich. Tymczasem tak wypadło, że godzina ta zeszła się z nieobecnością Blessingtona, o czem, naturalnie, nie wiedzieli i co wskazuje, że nie znali dokładnie trybu jego życia. Gdyby mieli

na celu jedynie rabunek, skutecznie by go niechybnie. Przytem z oczu Blessingtona odczytuję, że drży o swoją skórę. Było by rzeczą nieprawdopodobną, gdyby ów człowiek miał takich dwóch wrogów i nic o tem nie wiedział. Dla tego utrzymuję napewno, że wie, kto byli ci dwaj panowie, i że ukrywa to z powodu jakichś sprawek. Przypuszczam, że jutro będzie wymowniejszy.

— A czy nie przypuszczasz jeszcze jednego? Czy nie może tak być, że cała ta historia z chorym Rosyaninem i jego synem wymyślona przez doktora Travellana, który sam dla jakichś celów bawił w pokoju Blessingtona?

Przy blasku latarni spostrzegłem, że Holms uśmiechnął się pobłażliwie na to zapytanie.

— Mój drogi! — rzekł. — Z obowiązku myśl ta powstała najpierwej w mej głowie, wkrótce jednak przekonałem się o prawdziwości słów doktora. Młodzieniec ów pozostawił ślady zarazem i na dywanie, i na wschodach, tak że nie potrzebowałem wcale, żeby mi je pokazywano w pokoju. Ślady te są od butów z wążkami nosami, podczas gdy Blessington nosi buty z szerszemi nosami, buty zaś doktora o dobry cal dłuższe, tak że co do tego nie może być żadnych wątpliwości. Nie wiem, czy uda nam się dzisiaj wyspać porządnie, bowiem zdaje mi się, że jutro od rana stanie się coś na Brook Street.

Wróżba Holmesa spełniła się w sposób najbardziej dramatyczny. O pół do ósmej nazajutrz, z pierwszym brzaskiem dnia, stał już ubrany u mego łóżka.

— Czekaj na nas powóz, Watsonie, — rzekł.

— O co chodzi?

— Mamy jechać na Brook Street.

— Czy się coś stało?

— Stało się coś — przypuszczam — bardzo tragicznego, — rzekł, odsłaniając sztorę. — Patrz, oto kawałek papieru, a na nim te słowa ołówkiem: „Na miłość Boską, przyjeżdżaj pan czempredzej. P. T.” Widocznie doktor spieszył się bardzo, gdy to pisał. Jedźmy, nie tracąc czasu.

W kwadrans byliśmy już u doktora; gdy wyszedł ku nam, był blady, z twarzą przerażoną.

— Okropność! — zawołał, wstrząsając się całym.

— Co się stało?

— Blessington odebrał sobie życie.

Holms aż gwizdnął ze zdumienia.

— Powiesił się nocy dzisiejszej.

Udaliśmy się za doktorem do poczekalni.

— Nie wiem poprostu, co robić! — powiedział, wciąż jeszcze pozostając pod wrażeniem. — Policja jest już tam na górze. Wszystko to mną okropnie wstrząsnęło.

— Kiedyś się pan o tem dowiedział?

— Zanoszono mu zawsze zrana filiżankę herbaty. Gdy służąca weszła o siódmej, obaczyła go wiszącego na środku pokoju. Przywiązał sznurek do haka, na którym wisiała lampa, a potem zeskoczył z kufra, który nam wczoraj pokazywał.

Holms stał chwilę, pogrążony głęboko w dumanie.

— Jeżeli pan pozwoli, — rzekł, — pójdę na górę i obaczę, co się święci.

Udaliśmy się obaj, prowadzeni przez doktora, do pokoju samobójcy.

Gdyśmy przestąpili próg sypialni, ujrzeliśmy straszny widok. Mówiłem już, jak niekorzystne wrażenie sprawiał Blessington swą brzydota. Obecnie, gdy wisiał, wrażenie to stokroć było wstrętniejsze. Szyja wyciągnęła się, jak u kurczęcia, całe ciało masą wstrętną ciążyło ku dołowi. Miał na sobie jedynie nocną koszulę, z pod której zwisały spuchnięte łydki i nieforemne nogi. Obok wisielca stał szykowny policyant i zapisywał coś do notesu.

— A! mister Holms! — zawołał z uprzejmym szacunkiem, — jakże się cieszę, że widzę pana.

— Jak się masz, panie Lanner, — odrzekł Holms. — Tuszę sobie, że się nie gniewasz za moją tu obecność. Czy wiesz już pan co o wy-

padkach, które poprzedziły to smutne wydarzenie?

— Tak jest, słyszałem coś niecoś o tem.

— Jakież jest pańskie zdanie?

— O ile mogę wnosić, człowiek ten pozabawił się życia ze strachu. Z początku położył się do łóżka; jak pan widzi, łóżko zmięte. Następnie — wiadomo panu zapewne, że największa ilość samobójstw wypada na godzinę piątą zrana. O tej porze prawdopodobnie powiesił się.

— Mojem zdaniem, — wtrąciłem się, — człowiek ten zmarł trzy godziny temu, sądząc z zeszywnienia członków ciała.

— Czyś pan znalazł co szczególnego w pokoju? — zapytał Holms.

— Znalazłem na umywalni kilka śrub i klucz do odkręcania. Znalazłem także na kominku cztery ogryzki od cygar. Musiał widać wiele palić, zanim się położył.

— Hm! — rzekł Holms, — czyś pan widział jego cygarnicę?

— Nie, nie widziałem.

— A jego portcygar?

— Widziałem, jest w kieszeni jego surduta.

Holms wziął portcygar, otworzył i powąchał cygaro, które było wewnątrz.

— To jest cygaro hawańskie, a te ogryzki są od cygar szczególnego gatunku, który Duń-

czycy otrzymują z kolonii indyjskich. Zawinięte są zazwyczaj w słomę, jak to panu wiadomo, i cieńsze od innych. Wziął wszystkie cztery niedopałki i obejrzał je uważnie.

— Dwa cygara były wypalone w cygarnicy i dwa — bez. Dwa były obcięte nożem dosyć tępych, dwa zaś obcięte zębami bardzo zdrowymi. To nie samobójstwo, mości Lanner, to bardzo zręcznie pomyślane i wykonane zabójstwo.

— Nie może być! — wykrzyknął agent.

— Dla czego nie może być?

— Któżby zabijał człowieka w sposób tak nierozsądny i ambarasowny, jak powieszenie?

— Tego właśnie powinniśmy się dowiedzieć.

— Lecz jakżeż by tu weszli złoczyńcy?

— Przez drzwi frontowe.

— Dziś zrana były zamknięte.

— Zostały zatem wczoraj zamknięte już po ich tu przybyciu.

— Zkąd pan to wnosisz?

— Widziałem ich ślady. Poczekaj pan chwilę, zaraz dam panu dalsze w tym względzie objaśnienia.

Zbliżył się do drzwi i począł z właściwą mu uwagą i sumiennością oglądać zamek. Wyjął następnie klucz, który był odewnętrz włożony, i równie bacznie obejrzał go. W ten sam sposób obejrzał w dalszym ciągu: pościel, łóżko, krzesła, kominek, trupa i sznurek, na którym trup wisiał, aż orzekł nareszcie, że widział już

wszystko, co mu było potrzeba; potem przy naszej pomocy zdjął pętlicę z wisielca i trupa ułożył na łożku.

— No, a z kąd sznurek? zapytał.

— Odcięty od tego kawała, — rzekł doktor Travellan, wyciągając z pod łożka długi zwój sznura. Bał się ogromnie pożaru i zawsze miał sznur przy sobie, by się po nim spuścić przez okno, gdyby wschody spłonęły.

— To im umniejszyło trudu, — rzekł Holms głosem zamyślonym. — Tak! główne fakty są pewne niewątpliwie — i nie będę sobą, jeżeli do południa nie objaśnię panom i reszty. Biorę z kominka fotografię Blessingtona, może mi się przydać przy moich poszukiwaniach.

— Ale-ć przecie nic nam pan jeszcze nie powiedział! — zawołał doktor.

— Rzecz tak się miała, — rzekł Holms. Było ich trzech, należących do tego zabójstwa: jeden młody, drugi stary i trzeci, którego jeszcze nie wiem. Dwaj pierwsi — to rzekomy Rosyjanin i jego syn, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Wspólnik ich ułatwił im wejście do tego pokoju. Jeżeli mogę panu służyć radą, panie Lan-ner, to każ pan natychmiast aresztować lokaja, który, jeśli się nie mylę, służy tu od niedawna.

— Niestety! gagatek przepadł gdzieś i dotychczas nie można go znaleźć, — rzekł doktor Travellan. — Pokojowa i kucharka szukają go wszędy.

Holms wzruszył ramionami.

— W całej tej przygodzie grał on rolę niepoślednią, — rzekł. — Wszyscy trzej wchodzili na palcach po wschodach: najpierw stary, potem młody, a na końcu ów trzeci.

— A to z kąd wiesz? — zawołałem.

— Ależ to przecie głupstwo — rozróżnić ich ślady. Jeszcze wczoraj wieczorem wystudowałem je, jak należy. Weszli tedy na wschody i zbliżyli się do sypialni Blessingtona. Drzwi były zamknięte. Przy pomocy dłótka wyłamali zamek. Wszedłszy do pokoju, pierwsze, co zrobili, to prawdopodobnie związali Blessingtona. On lub spał lub tak został rażony przestraczem, że nie krzyknął. Ściany te są grube, więc krzyku jego, być może, i tak by nie było słyhać.

Kiedy go już związali, wtedy widocznie zrobili coś w rodzaju narady. Być może był to swego rodzaju sąd. Ciągnął zaś się dosyć długo, gdyż przez ten czas wypalili te cztery cygara. Młody siedział, o, tam — i otrząsał popiół o róg komody; ów trzeci chodził tam i napowrót po pokoju. Blessington siedział prawdopodobnie w łóżku, chociaż tego napewno utrzymać nie mogę.

Skończyło się na tem, że go wywlekli z łóżka i powiesili. Widocznie zaopatrzyli się na wszelki wypadek w rodzaj bloka czy w coś podobnego, żeby móżdżk urządzić szubienicę, przytem śruby i klucz do wkręcania miały służyć, jako narzędzie

dzia; obaczywszy jednak hak, poprzestali na tem radzi. Zrobiwszy swoje, wyszli pocichu, a współnik ich zamknął drzwi za nimi.

Z wielką uwagą wysłuchaliśmy wszyscy tej twórczej osnowy Holmsa co do zachowania się złoczyńców podczas tej nocy, osnowy, z tak drobnych włókien powziętej, że kiedy nawet je wskazał, ledwie że można było je pochwycić. Policyant tej że chwili udał się na poszukiwanie lokaja, a Holms wraz ze mną powrócił na Beker Street, żeby zjeść śniadanie.

— Powrócę na trzecią, — rzekł, kiedyśmy już wstali od stołu. — Lanner i doktor mają mnie o tej porze oczekiwać tutaj; mam nadzieję, że uda mi się wyświecić i resztę, która jeszcze nie jest jasną.

O trzeciej punktualnie stawili się doktor i Lanner, Holms jednakże przyszedł dopiero kwadrans później. Z wyrazu jego twarzy domyśliłem się, że sprawa poszła świetnie.

— Cóż tam nowego, panie Lanner?

— Złapaliśmy lokaja.

— Wybornie! a ja złapałem jego współników.

— Jakto? przyłapałeś pan? — wykrzyknęliśmy wszyscy razem.

— Tak jest, a przynajmniej dowiedziałem się, kim są. Ten, co się nazywał Blessington, jest dobrze znany tajnej policyi, zarówno

jak i jego zabójcy. Nazywają się wszyscy trzej: Biddl, Gejdord i Maffat.

— Co? — wykrzyknął Lanner: — słynna szajka Wortingtońska?

— We własnych osobach, — odrzekł Holms.

— Zatem Blessington — nikt inny, jak Sutton?

— Jak byś pan wiedział, — potwierdził Holms.

— Ha! teraz wszystko już rozumiem, — rzekł Lanner.

Travellan i ja słuchaliśmy, nic nie rozumiejąc z tych kronik.

— Pamiętacie prawdopodobnie panowie głośną sprawę Wartingtońskiego banku, — począł Holms, — do której należało pięciu złoczyńców; piąty zwał się Kartrajt. Zabity został szwajcar Tabin, i szajka owa uniosła siedm tysięcy funtów. To było w roku 1875. Aresztowano wszystkich pięciu, lecz dowodów wyraźnych nie można było przedstawić. Blessington czy Sutton, jak chcecie, najpodlejszy z całej szajki, zdradził wtedy kolegów. Dzięki jemu Kartrajt został powieszony, a trzej pozostali skazani na piętnaście lat ciężkich robót. Gdy już odzyskali wolność, poczęli natychmiast poszukiwania zdraycy; znalazłszy go, pomścili śmierć przyjaciela. Dwa razy próba chybiła, za trzecim razem dokonali, co zamierzeli. Może pan jeszcze pragnie jakich wyjaśnień, doktorze?

— Zdaje się, że już wszystko wyjaśnił nam pan tak znakomicie, — rzekł doktor, — iż nic nie pozostaje do życzenia. Prawdopodobnie tego dnia, kiedy był tak wzburzony, musiał przeczytać o uwolnieniu trzech druhów?

— Najniezawodniej, a obawa rabunku była głupstwem wierutnem.

— Dla czego jednak nie powiedział panu całej prawdy?

— Nie chciał zdradzić swego prawdziwego nazwiska. Tajemnica jego była tak haniebna, że nie miał mocy jej wyjawić.

Oto są przygody, złączone z osobą „stałego pacyenta“ i doktora z Brook Street. Od tego czasu nikt nic nie słyszał o zabójcach Suttona; jest jednak pewna racya przypuszczać, że to oni byli pasażerami statku „Nora Krejn“, który zginął u brzegów Portugalii kilka mil na północ od Oporto.

Co się tycze lokaja, to ponieważ poszlaki przeciw niemu były niedostateczne, w krótkim czasie został wypuszczony na wolność.

OSTATNIA KARTA

Ostatnia karta.

Z bólem niewymownym przystępuję do opisu wypadków, w których po raz ostatni mam mówić o niezwykłych talentach mego druha, mister Holmsa. Wspomnienie to, jeśli mam być otwartym, jest dla mnie tak bolesne, że chętnie pominąłbym szczegóły fatalnego wypadku, który do życia mego wniósł pustkę nie do zapelnienia; sumienie atoli każe mi przemódz stratę osobistą i skreślić szczegółowo tragiczny skon mego druha; zmuszają mnie również do tego niedawno ogłoszone listy pułkownika Dżemsa Moriarti'ego, w których ów stara się rehabilitować pamięć swego brata. Ponieważ jestem jedynym świadkiem tego, co było pomiędzy profesorem Moriarti'm i mym druhem Holmsem, dla tego uważam za swój obowiązek ogłosić prawdę drukiem, prawdę, spaczoną przez brata zmarłego profesora.

Zaznaczyłem już, zdaje się, w przeszłych opowiadaniach, że po mojem ożenieniu się i ustaleniu dawnej praktyki, z kolei rzeczy łączność moja z Holmsem, niegdyś tak zażyła, znacznie się rozluźniła. Od czasu do czasu przychodził jeszcze do mnie, prosząc, bym towarzyszył mu i współdziałał w jego poszukiwaniach; zdarzało się to jednak coraz rzadziej, aż wreszcie w roku 1890 zaledwie trzy razy brałem udział w jego wyprawach. Dla tego też zdziwiłem się niezmiernie, gdy w roku 1891, 24 kwietnia, wieczorem zjawił się u mnie niespodzianie. Zauważyłem odrazu, że pobladł i zmiźniał od czasu, jak go widziałem.

— A tak! — rzekł mi w odpowiedzi na moje słowa współczucia. — Ostatniemi czasy wiele pracowałem. Nagromadziło się tego — tyle, a jam, jak zwykle, nie oszczędzał siebie. Czy nic nie masz przeciwko temu, bym zamknął okienice?

Pokój oświetlony był jedną tylko lampą, przy której siedziałem i czytałem książkę. Holms przemknął się ukradkiem koło ściany i zamknął okienice, umocowawszy bacznie zasuwę od wewnątrz.

— Boisz się czego? — zapytałem.

— Tak jest, boję się.

— Czego?

— Wystrzału z fuzji.

— Jak mam to rozumieć?

— Zdaje mi się, mój drogi, że znasz mnie na tyle, iż nie będziesz posądzał, bym był zbyt nerwowo. Tymczasem było by rzeczą nierozsądną lekceważyć niebezpieczeństwo, jeżeli ono naprawdę istnieje. Daj mi, mój drogi, zapalkę!

I z przyjemnością widoczną zaciągnął się papierosem.

— Muszę cię przeprosić, — rzekł po chwili, — że tak późno przychodzę, a zarazem prosić cię nie mieć mi za złe, że odejdę od ciebie nie jak porządni ludzie, lecz — przelażąc przez parkan w ogrodzie.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytałem.

Wyciągnął ku mnie dłoń i przy świetle lampy ujrzałem, że dwa palce u ręki były skaleczone.

— Jak widzisz, mam powód do obawiania się, rzekł z uśmiechem. — A czy pani Watson w domu?

— Nie, niema; pojechała na wieczór.

— Więc jesteś sam w domu?

— Najzupełniej sam.

— Tem lepiej. Przyszedłem zaproponować ci, byś zemną na jaki tydzień pojechał na ląd Europy.

— Dokąd mianowicie?

— Dokąd chcesz. Wszystko mi jedno, byle wyjechać.

Było w tem coś dziwnego. To pragnienie zupełnego odpoczynku było tak niezgodne z naturą Holmsa; zarazem twarz jego blada i zmęczona zdradzała natężenie nerwów aż do ostatnich granic.

Spostrzegł moje zdumienie i przybrawszy pozę ulubioną, w której zwykł oplatać rękoma kolana, począł mi objaśniać, co się święci.

— Nie słyszałeś prawdopodobnie nigdy o profesorze Moriarti'm? — zapytał.

— Istotnie, nie słyszałem.

— W tem właśnie cała jego sztuka! Człowiek ten jest sprężyną wszystkiego, co jest w Londynie na wielką skalę zbrodniczego, i nikt nic o nim nie wie. Gdyby mi się udało uwolnić świat od tego człowieka, uważał bym, mój drogi, że doszedł do szczytu chwały i usunął bym się całkiem z widowni, tembardziej że dwie moje ostatnie czynności w sprawie państwa Szwecyi i Norwegii i w sprawie rzeczypospolitej francuzkiej na tyle zabezpieczyły mnie materyalnie, że mogł bym już całkowicie poświęcić się badaniom chemicznym, które tak umiłowalem. Nie mogę atoli, mój drogi, pogodzić się z tą myślą, nie mogę wprost zaznać spokoju, wiedząc, że taki człowiek, jak profesor Moriarti, oddycha wolnem powietrzem, przebiega ulice Londynu!

— Cóż on takiego zrobił?

— Karyera jego niezwykła. Pochodzi z dobrej rodziny, starannie wychowany, obdarzony przytem niezwykłemi zdolnościami do matematyki. W dwudziestym już roku życia pracami swemi w tej dziedzinie zwrócił powszechną uwagę i wkrótce otrzymał katedrę profesorską na jednym z uniwersytetów prowincyi. Czekala go świetna przyszłość; lecz człowiekiem ten odziedziczył snąc popęd zbrodniczy, poszedł za jego głosem i spotęgował go jeszcze, dzięki niezwykłym zdolnościom umysłowym. Mroczne wieści o tem rozniosły się po mieście, w którym mieszkał, tak że był zmuszony opuścić katedrę profesorską i przenieść się do Londynu. Oto wszystko, co wogóle wiedzą o nim, ja zaś powiem ci, co sam wiem o tem.

Jak to wiesz zapewne, mój drogi Watsonie, nikt nie jest obznajmiony lepiej odemnie z tem wszystkim, co się dzieje w wielkim świecie kryminalnym Londynu. Od wielu lat już podejrzewałem, iż w Londynie istnieje jakaś ukryta organizacya potężna, która staje wpoprzek sprawiedliwości i bierze pod swoją opiekę przestępców. Czy to kradzież znaczniejsza, czy zabójstwo, rabunek, wszędy czułem tę siłę sprzymierzoną; wykryłem ją w wielu przestępstwach, które zostały nie rozwiązane, w których doczekaniu brałem udział jedynie pośredni. Całemi latami mozoliłem się nad wykryciem tej tajemnej sprężyny i oto nareszcie po wielu tru-

dach i zawodach, krok za krokiem udało mi się dojść do samego wątku tej siły i dociec, że głównym jej motorem zbrodniczym jest były profesor Moriarti.

Jest on stanowczo Napoleonem zbrodni i występku. Połowa przestępstw stolicy, niedocieczonych i nierozwikłanych, jest dziełem jego ręki rządzącej. Jest to geniusz występku, filozof, myśliciel, poeta. Umysłowość przytem nadzwyczajna. Jak pająk omotany, pozostaje on w środku pajęczyny; pajęczyna atoli posiada milion rozgałęzień i drgnięcie każdego z nich zna on doskonale. Sam nic nie działa. Obmyśla jedynie. Ajenci jego, jak piasek, liczni i doskonale zorganizowani. Czy trzeba spełnić zbrodnię, czy papiery sfalszować, czy uprzętnąć kogo ze świata, kto im zawadza, czy kredyt czyjś podkopać, donoszą jedynie o tem profesorowi; rzecz w lot zostaje obmyśloną, zarządzoną i wykonaną. Ajenta nieraz złapią. Atoli na uwolnienie jego zawsze są pieniądze i pomoc, jakiej trzeba. Tylko główna sprężyna, oś wszystkiego, siła, rządząca ajentami, pozostaje poza kołem podejrzeń. Oto jest spójnia, Watsonie, którą wykryłem; by ją zdemaskować i zniszczyć, poświęcę wszystkie siły.

Lecz i profesor potrafił otoczyć się murem niezwalczonym; wszystkie moje wysiłki, by go na czynie przyłapać i pociągnąć do odpowie-

działności, dotychczas były bezskuteczne. Znasz moje zdolności, Watsonie; po trzech tedy miesiącach pracy natężonej mogę ci śmiało powiedzieć, że spotkał wreszcie godnego przeciwnika, przeciwnika, który dorównywa mi siłą intuicji i przewidywania. Grozę, jaka szła od jego niecných czynów, w umyśle mym zastępował nieraz podziw i zachwyt dla jego sztuki. Wreszcie zrobił błąd maleńki, błąd ledwie dostrzegalny; skorzystałem z tego, podchwyciłem i począłem ze swej strony oplatać go siecią pajęczą. Teraz jest już prawie całkowicie w mej mocy. Za trzy dni t. j. w przyszły poniedziałek, profesor i główni członkowie tej szajki będą już w rękach sprawiedliwości. A wtedy rozpocznie się sprawa, największa, najciekawsza w tym wieku; wykryje się do czterdziestu zbrodni, i złoczyńcy zostaną powieszani. Do tego jednak czasu dość jest zrobić jeden drobny błąd, a mogą się wymknąć pomimo dowodów niezbitych.

Gdybym mógł działać w tym kierunku bez wiedzy profesora Moriarti'ego, wszystko by było jaknajlepiej. Mariarti atoli zanadto jest czujny i wie o każdym moim kroku. Nieraz już starał się wymknąć z mej sieci, ale go zawsze pokonał. Nigdy jeszcze nie natężył bardziej sił moich i nigdy jeszcze nie miał takiego przeciwnika. Dziś rano zrobiłem ostateczne przygotowania; za trzy dni mają być wszyscy ujęci. Siedziałem w swym pokoju i właśnie sprawę tę

układałem, gdy naraz drzwi się otworzyły i przedemną stanął — profesor Moriarti.

Lubo nerwy mam mocne, Watsonie, to jednak wyznaję, drgnąłem mimowoli, gdy człowiek, który oddawna był celem mych myśli, stanął przedemną oko w oko. Poznałem go odrazu. Jest wysoki i szczupły, czoło ma nadmiernie wysunięte, oczy głęboko w dołach osadzone. Starringie wygolony, ma minę aktora, chociaż do tychczas zachował w ruchach coś profesorskiego. Plecy nieco pochylone od pracy mozolnej, a głowa zaledwie się porusza jakimś gestem złowieszczym, wężowym. Utkwił we mnie oczy ciekawe i przyglądał się z wielką uwagą.

— Jesteś pan mniej odważny, niż-em się tego spodziewał, — rzekł wreszcie, — jest to rzeczą dosyć niebezpieczną trzymać w kieszeni rewolwer nabyty.

Stało się zaś istotnie tak, że gdy wchodził, instynktem kierowany, przeczuwając, że może mi grozić niebezpieczeństwo, sięgnąłem po rewolwer, który leżał na komodzie, i włożyłem go do kieszeni.

Gdy rzekł te słowa, wyjąłem rewolwer i położyłem go przy sobie na stole. Profesor uśmiechnął się najniewinniej w świecie, a z wyrazu jego oczu spostrzegłem, że ostrożność ta z mej strony nie była zbytęczną.

— Pan prawdopodobnie nie wie, kim jestem? — zapytał.

— Przeciwnie. Zdaje się, że dowiódł tego w tej chwili. Proszę, niech pana siada. Mogę panu użyczyć pięciu minut czasu, jeżeli pan ma mi co do powiedzenia.

— Wszystko, co mam panu do powiedzenia, sam pan już odgadłeś, — rzekł.

— W takim razie musiał pan już odgadnąć i moją odpowiedź, — rzekłem na to.

— I to się nie da cofnąć?

— Naturalnie!

Sięgnął do kieszeni, a ja za rewolwer; wyjął jednakże tylko notatnik, z którego odczytywał mi następujące daty:

— 4 Stycznia stanąłeś pan pierwszy raz wpoprzek mej drogi; 23 stycznia znowu mnie pan zaniepokoiłeś; w połowie Lutego zaszkoziłeś mi pan poważnie; w końcu Marca zepsułeś mi pan plany, a teraz w końcu kwietnia, dzięki pańskim pościgom, znalazłem się w takich opałach, że mogę nawet utracić swobodę. Pozycja pocyna być prawdziwie przykrą.

— Właściwie czego pan sobie życzy? — zapytałem.

— Musisz pan to wszystko porzucić, mister Holms, mówię to panu całkiem poważnie.

— Dobrze! po poniedziałku! — odrzekłem.

— Nie żartuj pan! Człowiek z taką, jak pańska, głową powinien przecie zrozumieć, że pozostaje mu jedyna tylko rzecz: usunąć się z widowni. Tymczasem postawiłeś pan tak

sprawę na ostrzu, że dla nas pozostaje jedna tylko ostateczność co do pana. Zaręczam panu, że poznawszy pana ze strony tak świetnych talentów, przykro by mi było uciec się do tej ostateczności. Pan się śmiejesz, panie Holms, ja jednak zapewniam pana, że mówię to na seryo.

— Niebezpieczeństwo jest nieodłączną częścią mego powołania! — rzekłem mu na to.

— To, co panu grozi, nie jest niebezpieczeństwem, lecz najpewniejszą zagładą. Stanałeś pan na drodze nie jednej jakiejś osobie, lecz całej potężnej organizacyi; jej ogromu i jej pełni potężnej, pomimo swego rozumu, nie zdołałeś pan przeniknąć. Dla tego mówię panu: albo pan ustąpisz, panie Holms, albo — zginiesz.

— Obawiam się jednego, — rzekłem powstając, — to — czy przyjemność obcowania z panem nie zabiera mi drogiego dla innej sprawy czasu.

Moriarti też powstał i smętnie pokiwał głową.

— Szkoda! — rzekł. — Zrobiłem wszystko, co mogłem. Znam wszystkie pańskie szanse do najdrobniejszych szczegółów: do poniedziałku nic pan nie zrobisz. Jest to pojedynek pomiędzy panem i mną, mister Holms. Pan masz nadzieję zwyciężyć mnie. Ja jednak zapewniam pana, że to się panu nie uda. Jeżeli

pan mnie obalisz, zginiesz pan sam jednocześnie.

— Mister Moriarti! — rzekłem mu na to, — powiedziałaś mi pan parę komplementów o moim rozumie. Pozwól pan wzamian powiedzieć sobie, że gdybym był pewien pierwszego, zgodziłbym się chętnie na to drugie.

— Ja mogę panu przyrzec tylko to drugie, — rzekł ze zjadliwym uśmiechem i wyszedł z pokoju.

Oto przebieg mojego oryginalnego spotkania z profesorem Moriarti. Wyznaję ci, że pozostawiło na mnie przykre wrażenie; człowiek ten wie, co mówił. Powiesz mi na to: dla czego nie ucieknę się o pomoc do policyi? To jednak do niczego nie doprowadzi, gdyż on pozostanie w cieniu, działać zaś będą jego ajenci: przekonałem się już dzisiaj o tem najdowodniej.

— Jakto? nastawano już na twoje życie?

— Mój drogi! profesor Moriarti nie należy do tych, którzy zasypiają gruszek w popiele. Wyszedłem dziś koło południa, by załatwić interes na Oxford-Street. Zaledwie doszedł do rogu, na zakręcie wpadł na mnie z całym impetem powóz dwukonny; zdążyłem na szczęście uskoczyć z powrotem na trotuar. Powóz zniknął jednej chwili. Nie schodziłem już tedy z chodnika. Nie zdążyłem jednak przejść dwóch ulic, gdy nagle spada z dachu jednego z domów

cegła olbrzymia i rozpryskuje się u nóg moich. Zawolałem policję i kazałem zrewidować dach. Okazało się że dach naprawiano i że cegła na górze była złożona; zapewniano mnie, że to wiatr strącił jedną z nich. Chociaż wiedziałem doskonale, jaka sprawa się święci, nie mogłem dowieść niczego. Wziąłem fiakra i pojechałem do brata na Pèle-Mèle, gdzie zabawiłem cały dzień. Od niego wybrałem się tu do ciebie; po drodze napadł na mnie drab jakiś z nożem. Zbiłem go z nóg i oddałem w ręce policji; zapewniam cię jednak, że nikt nie odnajdzie łączności pomiędzy tym łotrem a profesorem matematyki, który siedzi w tej chwili i obmyśla w dalszym ciągu sposoby, jakby mnie zgładzić. Nie będziesz się przeto dziwił, mój drogi, że pierwszą moją troską u ciebie było zamknąć okienice — i że prosiłem cię, byś pozwolił mi wyjść ztąd przez parkan w ogrodzie.

Nieraz zachwycąłem się odwagą mego druha; nigdy jednak nie wzbudziła ona we mnie tyle czci, co teraz, gdy z takim spokojem — rzeknę, spokojem obowiązku — wyliczał mi wypadki tego dnia, wypadki, które by zdołały zachwiać nawet najmężniejszego.

— Przenocujesz u mnie? — rzekłem.

— Nie, mój kochany! Gość ze mnie nadto niebezpieczny. Mam już cały plan gotowy. Takem wszystko zarządził, że przy aresztowaniu mogę być nie obecny; będę potem tylko sta-

wał, jako świadek. Dla tego też będzie najlepiej, jeżeli na kilkanaście dni zniknę z oczu; policya będzie tu działała podług moich wskazówek — i w ciągłej łączności ze mną. Byłbym rad wielce, gdybyś mi zechciał towarzyszyć na ląd Europy.

— Praktyki mam teraz nie wiele,— rzekłem,
— mój sąsiad zastąpi mnie najchętniej. Zgadzam się chętnie; jadę.

— Ale czy możesz jutro rano?

— Jeśli trzeba, to bez wahania.

— Tak! to konieczne. Dam ci więc instrukcję, jak masz postępować, mój drogi; proszę cię zarazem, byś się jej trzymał co do joty, gdyż, jak wiesz, walczymy z największym łotrem na całej kuli ziemskiej i z bandą świetnie zorganizowaną. Słuchaj więc. Dziś jeszcze wyślesz rzeczy na kolej przez kogoś pewnego bez wymienienia miejscowości, do której mają podążyć. Zrana pošlesz po fiakra, pamiętaj jednak, byś kazał zawołać nie pierwszego i nie drugiego tuż koło twego domu, lecz jednego z dalszych. Fiakrem tym dojedziesz do pasażu koło Strendu, tam wysiądziesz, z góry opłaciwszy, szybko przejdiesz przez pasaż i będziesz na drugiej jego stronie o kwadrans na dziesiątą. Tam będzie już oczekiwał na ciebie powóz jednokonny z furmanem czarno ubranym z czerwonym kołnierzem. On też przywiezie cię na dworzec na parę minut przed odejściem pociągu.

— Gdzież mam szukać ciebie?

— W pociągu. Drugi wagon pierwszej klasy, licząc od lokomotywy.

— Zatem — aż tam się zobaczymy?

— Tak jest.

Napróżno namawiałem go, by został na noc. Nie chciał się zgodzić z obawy, bym nie doznał z powodu niego jakiej napaści podczas nocy. Rzekłszy jeszcze kilka słów na pożegnanie, udał się ze mną do ogrodu, z kądem przez parkan przedostał się na Mortimer-Street. Po chwili usłyszałem, jak wskoczył do dorożki i odjechał.

Na drugi dzień rano zastosowałem się w zupełności do wskazówek Holmsa. Sprowadziłem dorożkę z sąsiedniej ulicy, by nie trafić na podstawionego przez naszych wrogów dorożkarza; następnie przeszedłem szybko przez pasaż i na drugim jego końcu ujrzałem czarno ubranego woźnicę; wskoczyłem do jego powozu, on też ruszył natychmiast na dworzec. Gdyśmy przybyli na miejsce, ledwie wysiadł, woźnica zaciął konie i zniknął mi odrazu z oczu. Dotychczas wszystko szło dobrze. Bagaż mój oczekiwiał na mnie, znalazłem też wkrótce wagon, który Holms określił, co było tem łatwiej, że na nim jednym wisiała karta z napisem: „zajęty”. Obawiałem się tylko jednego, to — żeby Holms się nie spóźnił. Za parę minut pociąg miał już ruszyć. Napróżno szukałem go wśród tłumu; ni-

gdzie nie było widać jego zgrabnej figury. Szukając go, zostałem zaczepiony przez jakiegoś włoskiego księdza i pomogłem mu rozmówić się z tragarzem, który nie mógł ani rusz zrozumieć jego łamanej angielszczyzny, by wyprawić bagaż do Paryża. Raz jeszcze obszedłem platformę i wróciłem do wagonu; tam zastałem siedzącego już owego włoskiego księdza; chciałem mu tedy zwrócić uwagę, że wagon ten jest zajęty i że wsiadł tu przez pomyłkę, zaniechałem jednak, nie chcąc łamać sobie języka włoszczyzną, gorszą jeszcze chyba od jego angielszczyzny. Począłem wyglądać przez okno, wypatrując mego druha. Zimno mnie przejmowało na myśl, że może co złego stało się podczas nocy. Wreszcie zatrzaśnięto drzwi wagonów, rozległ się dzwonek, a wraz z nim głos tuż obok mnie:

— Mój kochany Watsonie! mógł byś się przynajmniej przywitać ze mną.

Obejrzałem się zdumiony. Zgrzybiały księżyna patrzył na mnie badawczo. I oto jednej chwili zmarszczki na jego twarzy drgnęły i zginęły, nos się wyprostował, podbródek opadł, dolna warga już nie zwisała, oczy mętne patrzyły znowu z ogniem po junacku, a postać zgarbiona stała się znów prostą i sprężystą. Przedemną stał Holms, lecz tylko przez chwilę.

— Boże! krzyknąłem mimowoli, — jakieś mnie nastraszył!

— Tss, — szepnął mi, — ostrożność nie zawadzi. Mam wszelkie podejrzenie, że tropią nas zawzięcie... Aha! masz, oto i Moriarti!

Pociąg już ruszył, gdy Holms to powiedział. Obejrawszy się, ujrzałem, jak człowiek jakiś wysoki rozpychał tłum na dworcu i machał ręką, jakby pragnąc zatrzymać pociąg. Było już jednak późno, pociąg przyspieszał biegu i oto jak strzała pomknęliśmy ze stacyi.

— Widzisz więc! — rzekł mi Holms śmiejąc się. — Pomimo wszystkich ostrożności ledwieśmy umknęli.

Powstał, zdjął z siebie owe księżę szaty, zwinął je i włożył do walizy.

— Czytałeś ranne gazety? — zapytał.

— Nie.

— Więc nic nie wiesz, co się stało na Becker-Street?

— Na Becker-Street?

— Podpalili dziś w nocy mój dom. Na szczęście nie wiele się spaliło.

— O, Boże! Ależ to nie do zniesienia, mój drogi!

— Stracili mnie widocznie całkiem z oczu od czasu, jak został aresztowany ów drab, który się rzucił na mnie z nożem. Gdyby nie to, nie mogli by przypuszczać, że powrócę do domu. Pomimo to jednak, śledzili widocznie ciebie i dla tego Moriarti znalazł się na dworcu.

Czyś wszystko spełnił, jak ci poleciłem, skrupulatnie?

— Tak jest, wszystko, jak-eś polecił.

— Znalazłeś powóz po wyjściu z pasażu?

— Tak, czekał na mnie,

— Poznałeś woźnicę?

— Nie.

— To był mój brat Mikroft. W takich razach najlepiej obywać się bez obcych pomocników. No, ale jakże teraz postąpimy z Moriarti'm?

— Przecież to ekspres, który się łączy ze statkiem; uniknęliśmy więc jego pościgu.

— Mój drogi! Zapomniałeś widocznie, com ci mówił, że człowiek ten w niczem nie ustępuje mej przenikliwości i mojemu sprytowi. Czy sądzisz, że gdybym ja go ścigał, drobnotka taka mogła by mnie zbić z tropu? Znadto źle masz o nim pojęcie, mój kochany!

— A cóż on może zrobić?

— To samo, co ja bym zrobił, będąc na jego miejscu.

— Mianowicie?

— Nająłbym ekstra-pociąg.

— Ale — przecież to już za późno.

— Myłisz się. Pociąg ten zatrzymuje się w Kenterbery, a przytem statek spóźnia się zwykle o cały kwadrans. Tym więc sposobem dogoni nas.

— Wygląda to, jakbyśmy byli zbrodniarzami i on nas ścigał. Każ go aresztować na przystani.

— To by znaczyło zmarnować wszystko, com zrobił w ciągu trzech miesięcy. Pojmali byśmy jego, a banda by się rozpierzchła. Gdy tymczasem w poniedziałek wszyscy bez wyjątku będą w moich rękach. Nie, nie może być mowy o aresztowaniu.

— Cóż tedy zrobimy?

— Wsiądziemy w Kenterbery.

— A potem?

— A potem zboczymy do Newhaven i ztąd przejedziemy do Dieppe. Moriarti zaś tak uczyni: przyjedzie do Paryża, odszuka nasz bagaż i będzie go pilnował. Przez ten czas będziemy musieli kupować wszystko w drodze, obywając się bez rzeczy; tym sposobem przez Luksenburg i Baden dostaniemy się do Szwajcaryi.

Zanadto wiele podróżował, bym miał się martwić z powodu straty rzeczy; wyznaję jednak, że przykrem mi było to uciekanie przed człowiekiem, który sam był winien siedzieć w więzieniu najgłębszem. Tak czy owak, wierzyłem, że Holms wie lepiej odemnie, co czynić wypada, dlatego też najposłuszniej wysiadłem z nim w Kenterbery, gdzie musieliśmy całą godzinę czekać na pociąg do Newhaven.

Stałem na platformie, z żalem patrząc, jak jada w świat moje rzeczy i cała moja garderoba

podróżna, gdy nagle Holms pociągnął mnie za rękaw.

— Patrz! czy nie miałem racyi? — powiedział.

Zza lasku ukazał się dym, a niespełna w minutę przemknęła przed nami, jak burza, lokomotywa z jednym tylko wagonem. Ledwieśmy zdążyli ukryć się za stosem skrzyń i kufrów.

— To on jedzie! — rzekł Holms, wskazując pociąg, — tym razem jednak omylił się nieco w rachunku.

— A cóż by było, gdyby nas dopędził?

— Nie ulega wątpliwości, że godził by na moje życie. Możesz jednak być pewny, że i ja nie prędko bym spuścił z tonu. Teraz chodzi o to, czy zjeść tu śniadanie, czy poczekać aż do przyjazdu do Newhaven.

Tej nocy przyjechaliśmy do Brukseli i zabawiliśmy tam dwa dni; trzeciego wyjechaliśmy do Strasburga. W poniedziałek rano Holms zatelegrafował do policji tajnej i wieczorem otrzymał odpowiedź. Przeczytawszy ją, rzucił z przekleństwem na ziemię.

— Tego się obawiałem, — jęknął, — wymknął się im!

— Moriarti!

— Schwytali całą szajkę, oprócz niego; drapnął im! Podczas mojej tam nieobecności nikt nie mógł, to pewna, iść z nim w zawody; ale się spodziewałem, że cała rzecz, przezemnie

zarządzona, rozwinie się sama pomyślnie. Wiesz co, Watson! Powracaj teraz lepiej do Londynu!

— Po co?

— Po to, że teraz towarzyszyć ze mnie niebezpieczny. Człowiek ten wszystko już przegrał; wracać do Londynu niema po co. Jeżeli go znam dobrze, wszystkie swe siły użyje teraz na to, by mi odplacić sowicie. Tak mi zapowiadał — i tak też uczyni niezawodnie. Lepiej będzie tedy, gdy wrócisz do swych chorych.

Namowa ta, rzecz prosta, pozostała bez skutku. Nadto go kochałem, nadto dawna przyjaźń nas łączyła, bym mógł się zgodzić na pozostawienie go w takiej sytuacji bez dłoni życzliwej. Sprzeczailiśmy się na ten temat przez całe pół godziny; skończyło się na tem, żeśmy tej jeszcze nocy pojechali razem do Genewy.

Spędziliśmy cudownie cały tydzień na wodach Rodanu, bawiliśmy w Interlakenie, w Meiringu, zachwycaliśmy się widokami górskimi, oddychaliśmy świeżem, jak rosa, powietrzem; wszędzie atoli, gdzieśmy byli, czułem wyraźnie, że Holms nie zapomina ani na chwilę o groźcem mu niebezpieczeństwie. Czy to w osadach alpejskich, czy w górach odosobnionych, oko jego bacznie wpatrywało się w każdego przechodnia; znać było, że każdej chwili jest przygotowany na spotkanie się z wielkim wrogiem.

Mimo tę ciągłą czujność nie upadał na duchu zupełnie. Nigdy jeszcze nie widziałem

go w tak świetnem usposobieniu; utrzymywał ustawicznie, że gdyby mu się udało uwolnić świat od Moriarti'ego, nie zawahałby się ani chwili przyplacić to własnem życiem.

Pozostaje mi obecnie w niewielu słowach dopowiedzieć resztę smutnych wypadków. I lubo każdy szczegół tych chwil ostatnich sprawia mi boleść niewymowną, nie mniej uważam za obowiązek podzielenia się niemi z ogółem czytelników.

Przybyliśmy 3 Maja do małego miasta Mejringu i zatrzymaliśmy się w hotelu Englicher Hof, utrzymywanym przez Peter Szejlera starszego. Był to człowiek dosyć wykształcony, biegle mówiący po angielsku, ponieważ przez trzy lata był lokajem w jednym z hotelów angielskich. Idąc za jego wskazówkami, 4 Maja po południu wybraliśmy się w góry, pragnąc dotrzeć do wioski Rosenlaut i tam przenocować. Najsolennie jednak odradzał nam krótszej drogi, która szła koło wodospadów Rajchenbachu i była nad wyraz niebezpieczną.

W samej rzeczy miejscowość ta była pełna grozy. Potok wody spadał do strasznej otchłani, a rozpryskiwanie się jej przypominało wielkiego pożaru; ponieważ woda spadała z obrzymiej wysokości i uderzała o wystającą twardą skośną skałę, odbijała się przeto od niej i znowu się wzbijała na znaczną wysokość. Łoskot przytem był wprost odurzający. Długośmy stali

na wierzchołku skały, zachwycając się tym wspaniałym widokiem.

Do wodospadu prowadziła wązka ścieżka, która urywała się nad samym jego skrajem, tak że powrót trzeba było odbywać tąż drogą. Zaledwieśmy ruszyli od wodospadu, gdy pędem przybiegł ku nam chłopiec z listem w ręku. Na kopercie była firma naszego hotelu; pisał sam gospodarz: w chwilę po naszym wyjściu przyjechała do hotelu jakaś angielfka w ostatnim stadjum suchot. Dostała krwotoku i życie jej policzone chyba na godziny; pragnie jednakże pomocy lekarskiej; jeżeli tedy mogę zawrócić z drogi... i t. d. w tym guście. Na końcu był jeszcze dopisek: że Sztejler nie zapomni mi nigdy tej przysługi, jeżeli zawrócę z drogi i przybędę obejrzeć chorą, która uparcie odmawia przyjęcia porady od lekarza szwajcarskiego.

Nie wypadalo mi odmówić. Nie wypadalo nie iść na wezwanie rodaczki, umierającej w obcym kraju. Przykro mi jednocześnie było zostawiać Holmsa samego. Postanowiliśmy wreszcie, że pozostanie razem z nim ów chłopiec przybyły z listem, ja zaś podążę do Majringenu. Holms miał jeszcze zabawić nieco u wodospadu, a potem powoli udać się do Rozenlautu, gdzie miałem się stawić na wieczór. Gdym się obrócił, odszedłszy już nieco, zobaczyłem Holmsa, opartego plecami o skałę, z rękoma skrzyżowa-

nemi na piersiach, patrzącego w dół, w otchłań huczącą. Ostatni raz go wtedy widziałem!

Gdym był już na dole, u skał podnóża, raz jeszcze się obejrzałem; wodospadu nie było już widać, lecz ścieżką, wiodącą ku niemu, pod górę szedł szybko jakiś człowiek.

Na jasnym tle zieleni postać jego dokładnie się odznaczała. Zwrócił moją uwagę tem, że szedł szybko bez zatrzymywania się. Wkrótce zapomniałem o nim zupełnie.

Po upływie godziny przybyłem do Mejringu. Stary Szejler stał u drzwi hotelu.

— No! jakże tam? — krzyknąłem zdala jeszcze: — mam nadzieję, że nie pogorszyło się.

Szejler spojrział na mnie zdziwiony, a mnie od złych przeczuć serce, jakby w otchłań zapadło.

— Czy nie pisałeś pan tego listu? — zapytałem go, wyjmując list z kieszeni: — Czy nie przyjechała tu chora do hotelu?

— Ależ nie! — odrzekł, dziwiąc się coraz bardziej. — Papier z firmą hotelu... Musiał to pisać ów wysoki anglik, który tu przybył zaraz po odejściu panów. Mówił mi...

Nie dosłuchałem końca i pędem pomknąłem tąż drogą, którą przybyłem. Schodziłem dobrą godzinę, teraz pod górę dwie godziny minęły, zanim dotarłem do wodospadu. W pobliżu skały leżał kij alpejski Holmsa, tuż koło tego

miejsca, gdzie widział go raz ostatni. Napró-
żno atoli wołałem Holmsa, szukając go do koła:
jedynie echo górskie odpowiadało na moje wo-
łanie.

Widok kija wprost przeraził mnie. Zna-
czyło to, że nie poszedł do Rozenlaut. Stał na
tej wąskiej ścieżce, tuż nad samą przepaścią,
i tu go wróg spotkał. Chłopca również nigdzie
nie było. Widocznie był przekupiony przez Mor-
iarti'ego — i zostawił ich obu sam na sam.
A co było potem? Kto rozwiąże, co się stało
potem?

Parę minut stałem w odrętwieniu, prze-
jęty grozą. Potem — o, ironio! — naśladować
w takich razach Holmsa, starałem się za po-
mocą jego własnej metody odtworzyć scenę,
jaka tu być mogła. Niestety! okazało się to na-
der trudnem. W ciągu całej naszej rozmowy
nie dochodziliśmy do końca ścieżki; kij jego al-
pejski wskazywał, gdzieśmy się zatrzymali.
Grunt w tem miejscu był bardzo miękki, nawet
ptak zostawia na nim ślady. Dwie pary kroków
prowadziły dalej tą ścieżką i nazad nie powra-
cały. W odległości kilku jardów od brzegu
przepaści, ziemia była zdeptana butami i poszar-
pana. Położyłem się na samym skraju otchłani
i zajrzałem w głąb. Mrok już zapadał, widzia-
łem tylko w dali pod sobą kłęby wody huczą-
cej i nic więcej. Zawołałem — nie było odpow-
iedzi.

Los jednak zrządził, żem od druha swego i towarzysza otrzymał znak pożegnalny. Mówiłem już, że kij był porzucony koło skały. Podniosłem go i wtedy zobaczyłem, że błysnęło coś na ziemi. Był to porte-cigare srebrny Holmsa. Otworzyłem go z uczuciem trwogi żalostnej; zwewnątrz wypadł kawałek papieru. Rozwinąłem go; był zaadresowany do mnie; była to kartka, wydarta z notesu i zapisana ołówkiem. I trzeba oddać sprawiedliwość Holmsowi, w ostatniej tej chwili życia pisał równie wyraźnie i spokojnie, jak to czynił przy biurku u siebie. Oto jest list ten w całości.

„Kochany Watsonie! Kreślę te słowa, dzięki uprzejmości pana Moriarti'ego, który zgodził się zaczekać kilka chwil, zanim przystąpimy do rozwiązania sprawy życia i śmierci. Opowiedział mi, jakim sposobem uniknął pościgu policji angielskiej i wysłał nas w naszej podróży. I teraz jeszcze jestem pochlebnego zdania o jego talentach. Jestem rad, że udziałem moim staje się uwolnienie świata od tego człowieka, boleję tylko nad tem, że przyjacielom swoim, a głównie tobie, Watsonie, sprawić muszę boleść. Mówiłem ci już jednak, że dobiegłem do szczytu chwały i w sposób świetniejszy nie mógł bym zakończyć mej drogi. Jeżeli chcesz całej prawdy, to ani chwili nie wątpiłem, że ów list z hotelu—

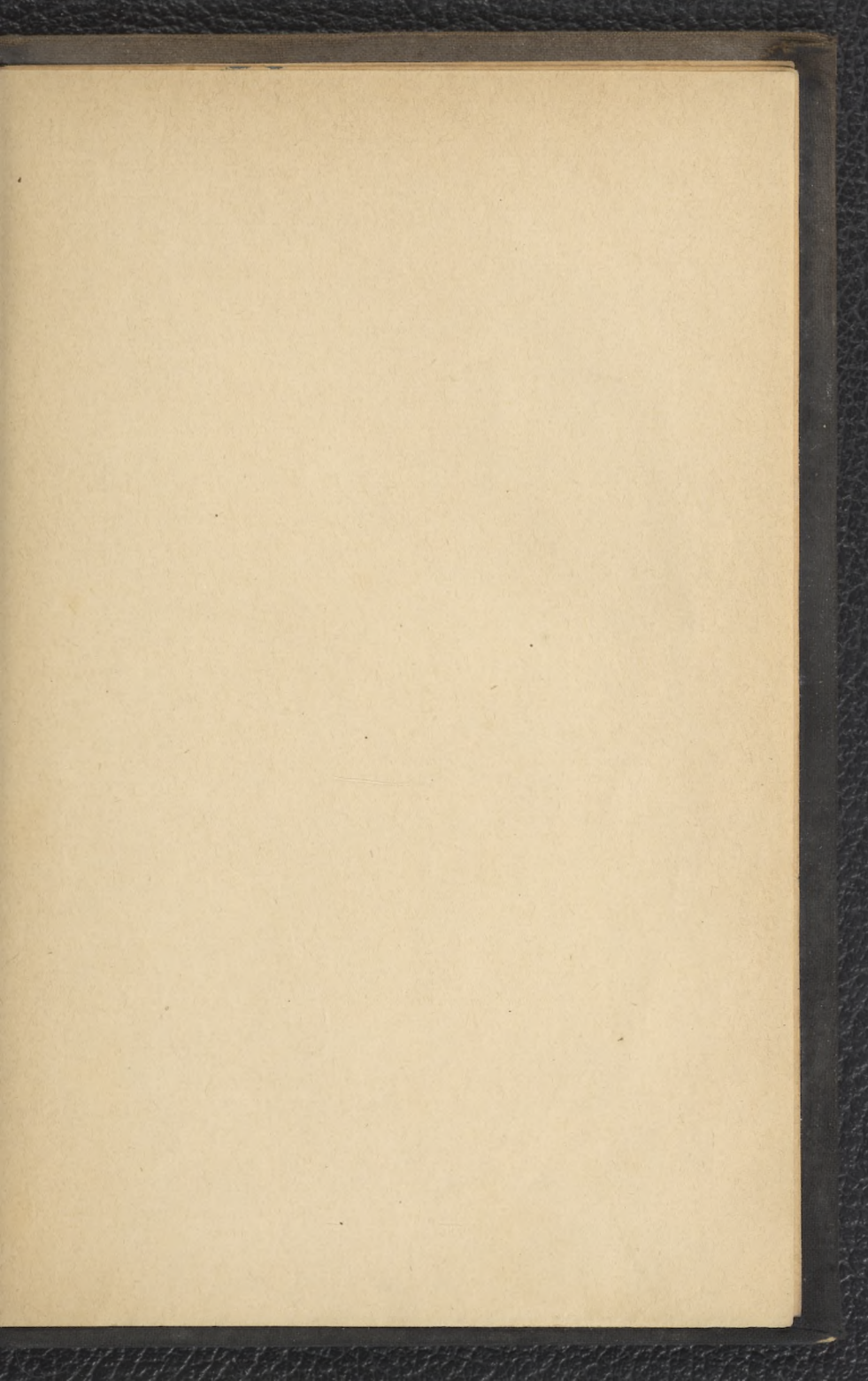
podstęp Moriarti'ego; pozwoliłem jednakże ci odejść, wiedziałem bowiem, że tak czy owak rozwiązanie staje się nieuniknionem. Oświadczyć odemnie inspektorowi Patersonowi, że wszystkie papiery, dotyczące sprawy Moriarti'ego leżą u mnie w biurku. Testament zrobiłem już przed wyjazdem z Londynu i wręczyłem go bratu swemu Mikroftowi. Bądź łaskaw oświadczyć mój szacunek twej żonie. Twój szczerze przyjazny

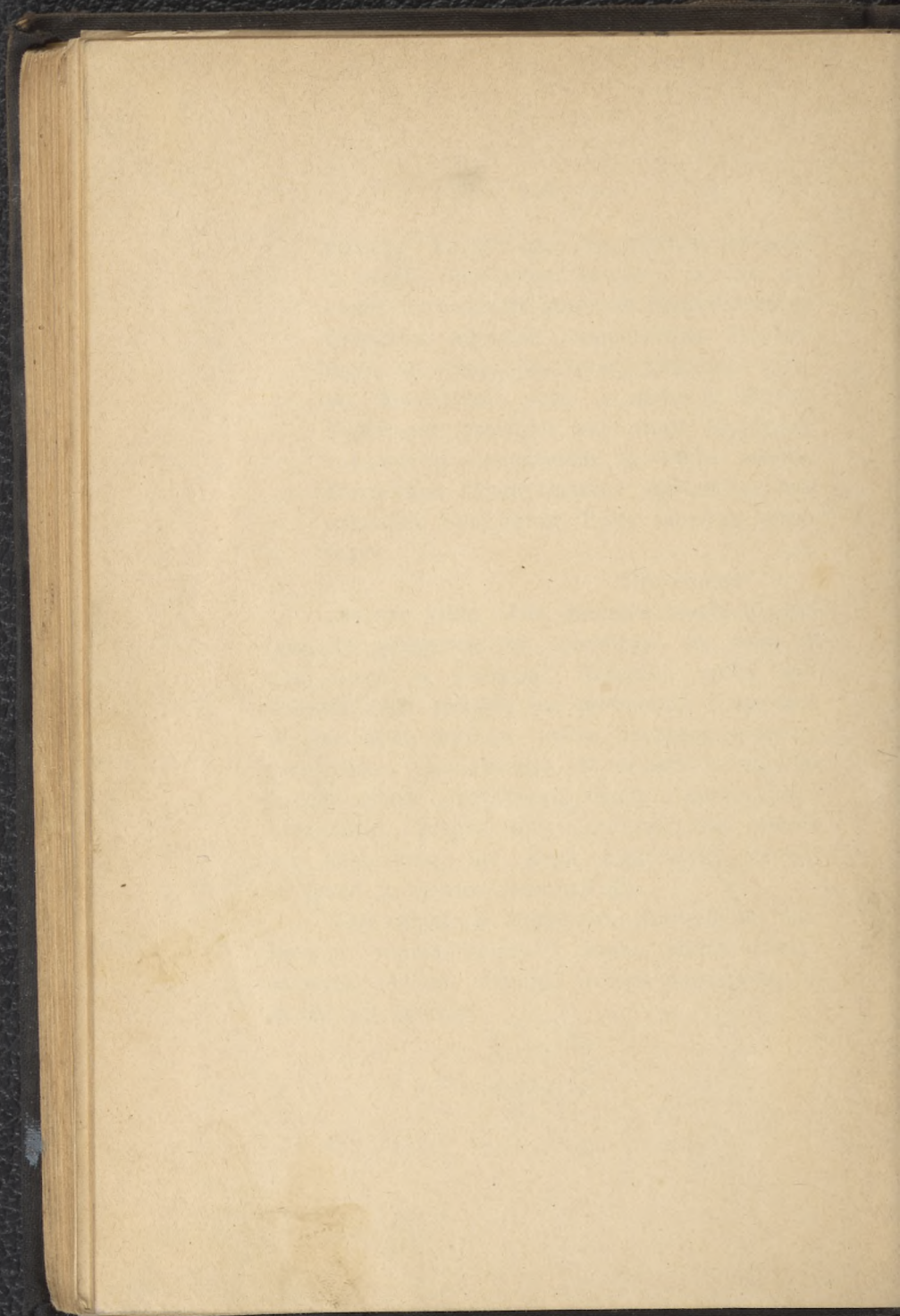
Ch. Holms"

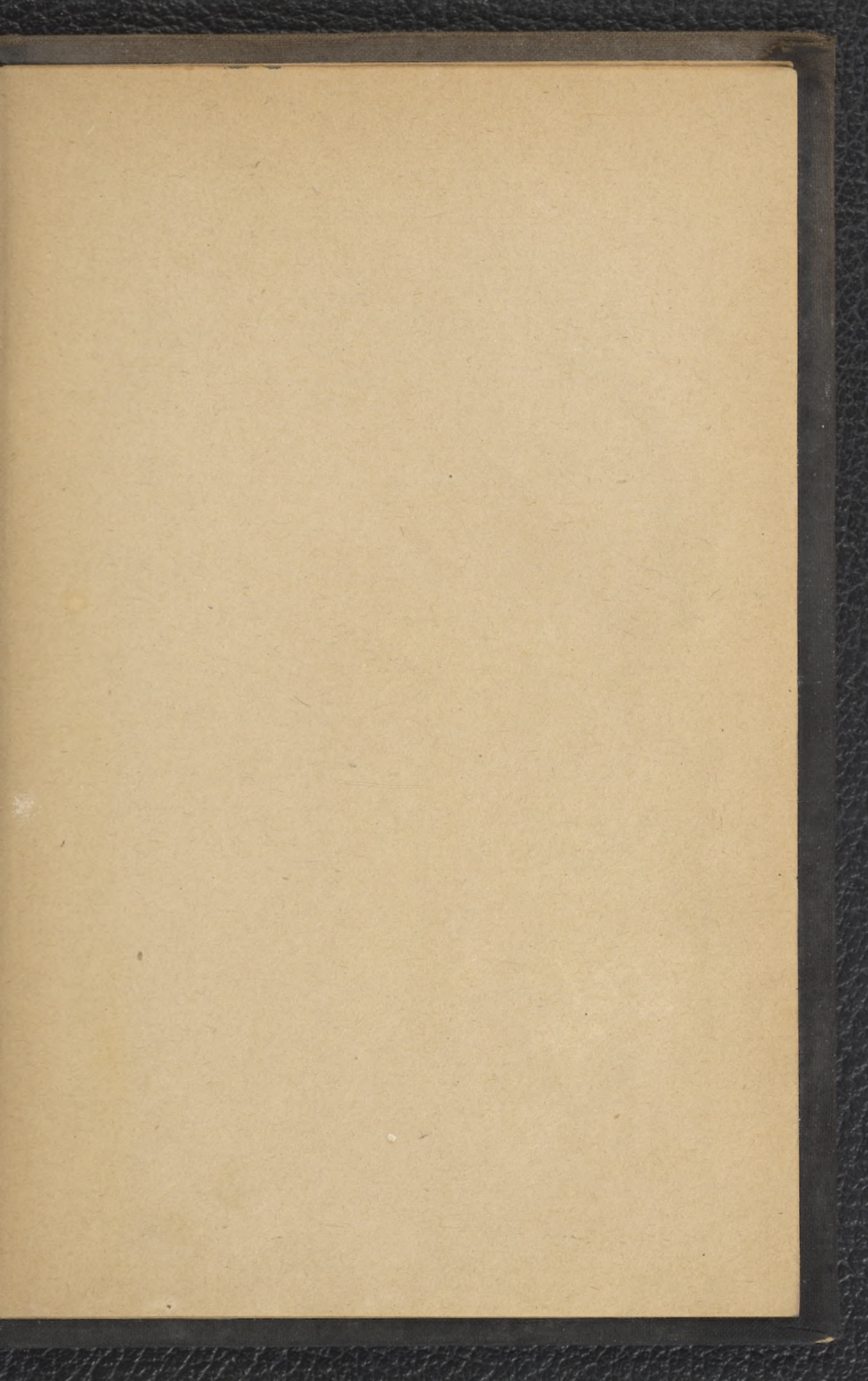
Jeszcze kilka słów. Badanie biegłych okazało, że pojedynek ów zakończył się tem, iż obaj runęli w przepaść. Wszelkie próby wydobywania ciała okazały się płonnemi. I oto tam w dole, wśród potoków wody huczącej, spoczęły dwa ciała: największego zbrodniarza i największego ajenta policyjnego, druha i dobroczyńcy ludzkości. Chłopca, który doręczał list, również nie znaleziono; nie ulega wątpliwości, że był to jeden z agentów Moriarti'ego.

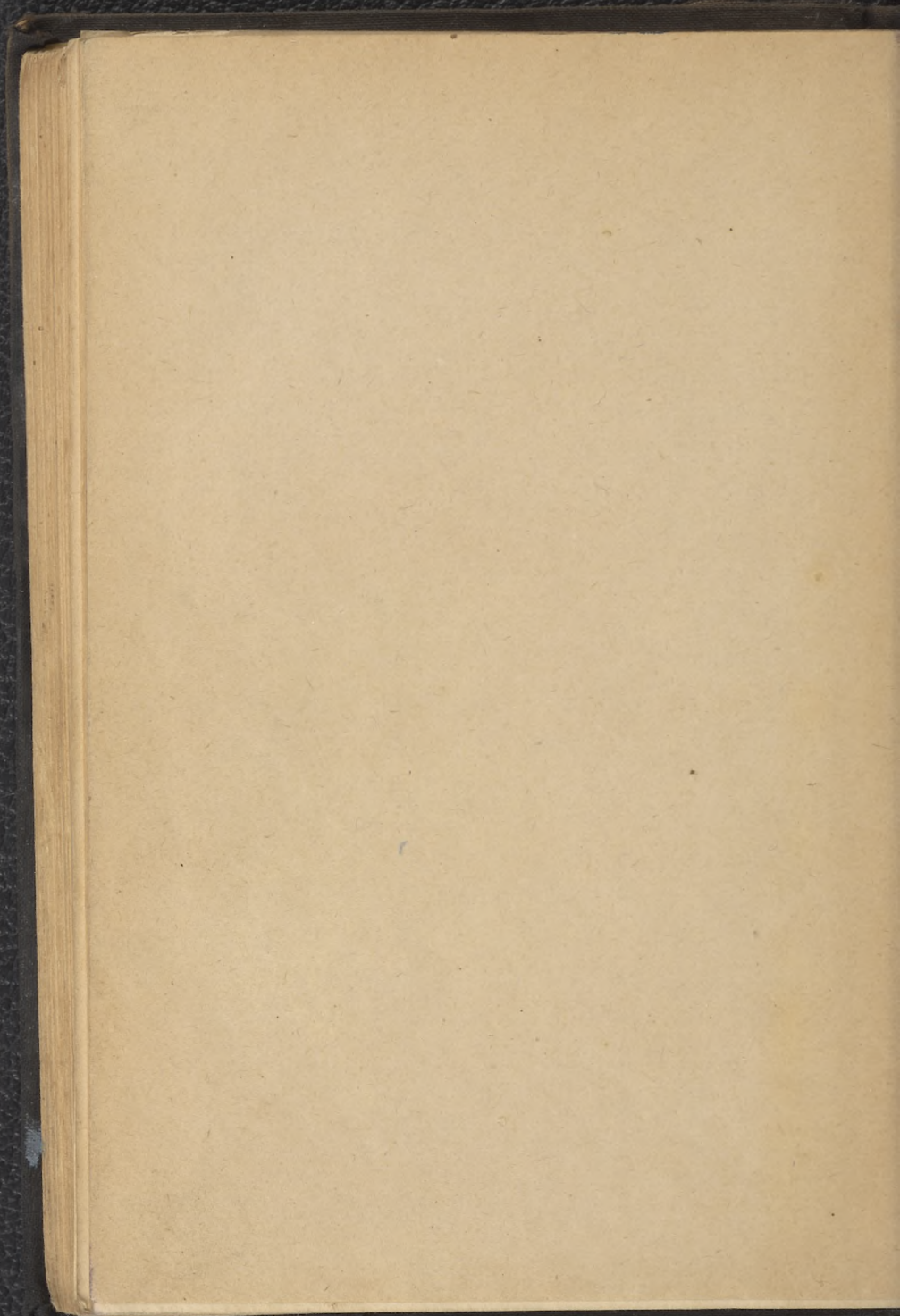
Tak zginął, jak żołnierz na stanowisku, najlepszy i najmądrzejszy z ludzi, jakich kiedykolwiek znałem. Pamięć o nim pozostanie mi drogą na zawsze.

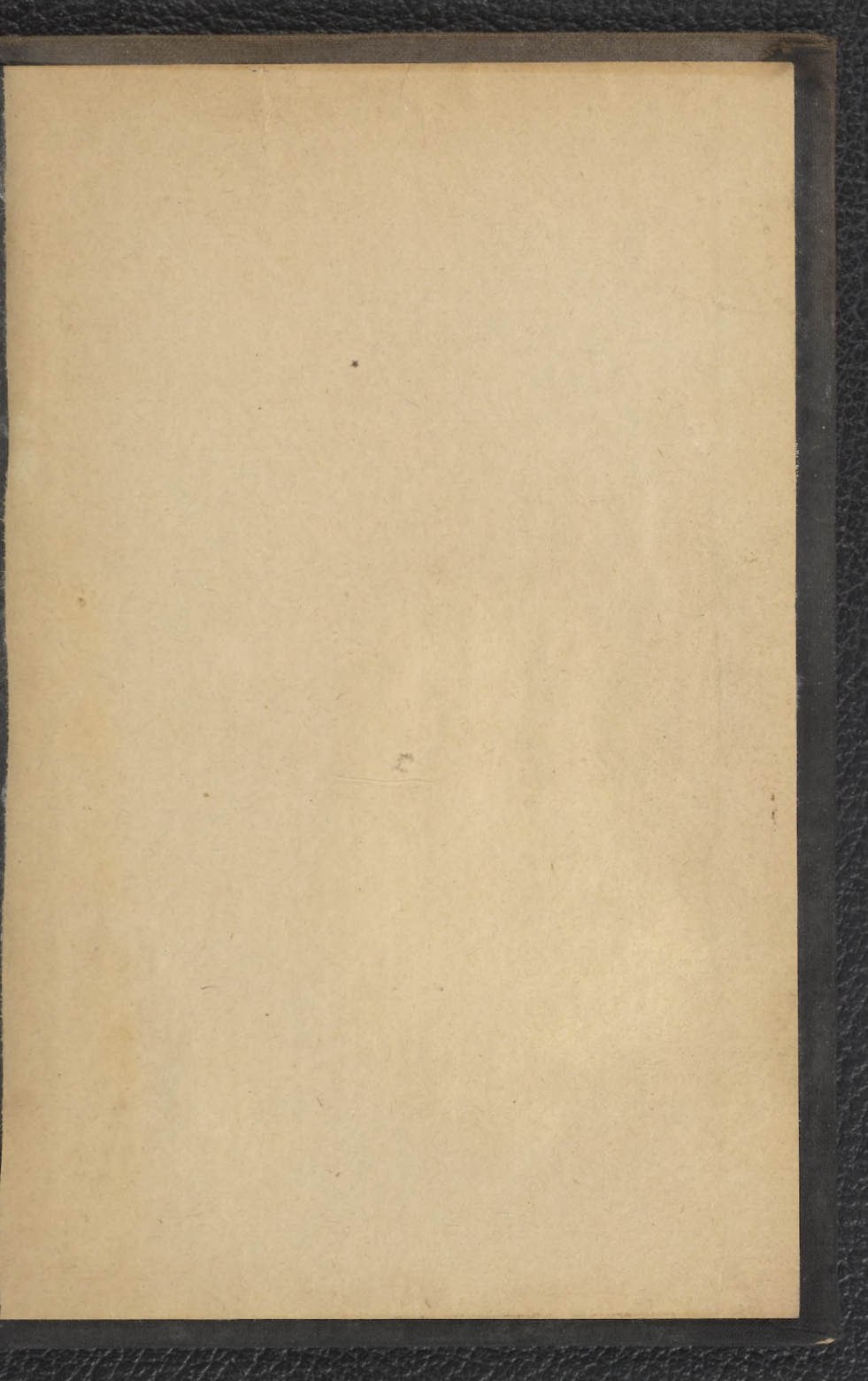














BIBLIOTEKA
NARODOWA

218631

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001016538953